



MEDYK BIAŁOSTOCKI

MIESIĘCZNIK UNIWERSYTETU MEDYCZNEGO W BIAŁYMSTOKU

NR 05 (118)

MAJ 2013

ISSN 1643-2734

Hymn. Pierwsza przymiarka

s.4

Ogród Branickich
wciąż pięknieje

s.5-7

Chyrowiaci
w białostockiej akademii

s.24-27



Gorący maj na UMB



Maj obfitował w wiele ciekawych wydarzeń. Najefektowniejsze były studenckie mistrzostwa ratowników medycznych (zdjęcia u góry, o mistrzostwach na s. 16). Noc muzeów na UMB to już tradycja. Tym razem na pałacowym dziedzińcu pojawił się szpital polowy z okresu II wojny światowej (zdjęcie z lewej). Okres, kiedy odbywają się matury, to czas intensywnej promocji uczelni: Dni otwarte UMB (zdjęcie u dołu, z lewej) i Dzień Akademicki (zdjęcie u dołu, z prawej)



- 4 Hymn. Pierwsza przyziarnka
- 5 Ogród Branickich wciąż pięknie
- 6 Detektyw w ogrodach
- 8 Quo vadis medicinae, co się dzieje?
- 9 Klient zamiast pacjenta
- 10 Przeszczepili twarz i uratowali życie
- 10 Druga twarz sukcesu
- 11 Doktorzy Honoris Causa UMB
- 12 Wspomnienie o Profesorze Ludwiku Komczyńskim
- 14 Program in vitro tuż przed startem
- 14 Nowe studenckie patio w Collegium Pathologicum
- 15 Rektorzy białostockich uczelni przeciw rasizmowi
- 15 W skrócie
- 16 Studenckie mistrzostwa ratowników medycznych
- 17 Dzień Dziecka w bajkowym szpitalu
- 17 Urodziny Izabeli Branickiej
- 18 Jubileuszowy zjazd patologów
- 18 Konferencja „Życiodajna Śmierć” już za nami
- 19 Zaawansowana chirurgia w Białymstoku
- 20 Mówią na mnie „Łazik”
- 22 Leki szeptuchy
- 23 Lekarze białostoccy w okresach: międzywojennym i powojennym
- 24 Chyrowiacy w białostockiej akademii
- 28 Łomża u boku Białegostoku
- 31 Piąty krzyżyk

Materiały do numeru przyjmujemy do dn. 10 każdego miesiąca.

Skład redakcji:

Redaktor naczelny: Lech Chyczewski • **Zastępca redaktora naczelnego i kronikarz:** Krzysztof Worowski • **Sekretarz redakcji:** Katarzyna Malinowska-Olczyk • **Redakcja:** Tomasz Dawidziuk, Magdalena Grassmann, Adam Hermanowicz, Wojciech Więcko • **Współpracownicy:** Alina Midro, Jan Pietruski, Wojciech Sobaniec, Anna Worowska • **Redakcja stylistyczna i korekta:** Ewa Krzemińska • **Skład komputerowy:** GALAKTUS - Agencja Marketingowa Mateusz Szukajt • **Druk:** Orthdruk Sp. z o. o. • **Projekt strony internetowej:** Monika Fiedorowicz • **Projekt okładki:** Tomasz Dawidziuk •

Adres redakcji:

Biblioteka Główna Uniwersytetu Medycznego, 15-089 Białystok, ul. Kilińskiego 1, tel. (085) 748-54-85
e-mail: medyk@umb.edu.pl, www.medyk.umb.edu.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i opracowania tekstów oraz zmiany ich tytułów

YouTube /Medyk Białostocki



/Medyk Białostocki

Znane przysłowie mówi: „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie”. To w nawiązaniu do refleksji, jakie nasunęły mi się po organizacji XIX Zjazdu PTP, który miał miejsce tydzień temu w Białymstoku.

W naszej uczelni organizowanych jest dość dużo sympozjów, zjazdów, kongresów naukowych. To dobrze, bo to świadczy o prężności ośrodka. W *Medyku* staramy się, w miarę możliwości, odnotowywać te wydarzenia. Organizatorzy tych spotkań najczęściej ciągną przyjezdnych uczestników po antypodach Województwa Podlaskiego. Standardem jest Białowieża. Bardziej wyszukane miejsca, to Mikołajki, Augustów, czy też mniej znane miejscowości turystyczne naszego regionu. Z pewnością, z uwagi na walory krajobrazowe miejsca te są atrakcyjne. Zwykle jednak oferują co najwyżej skromne warunki do zasadniczych celów spotkań, czyli naukowych obrad. Po moich doświadczeniach, na które składa się organizacja dwóch ogólnopolskich i dwóch międzynarodowych spotkań naukowych (wszystkie organizowane na terenie uczelni), a zwłaszcza po ostatnim ogólnopolskim zjeździe, nie mam wątpliwości, że najbardziej atrakcyjnym miejscem do organizacji naukowych sympozjów jest nasza uczelnia i miasto Białystok. Co do uczelni – nie muszę rekomendować. Siedziba w dawnym Pałacu Branickich jest unikatowa. Otoczenie Pałacu tak wypiękniło, że może zachwycić najbardziej wybrednych. A propos otoczenia – w bieżącym numerze *Medyka* Czytelnicy mogą zapoznać się z dalszymi planami rewaloryzacji kompleksu pałacowo-ogrodowego. Dwa nowe gmachy – Centrum Farmacji i gmach Wydziału Nauk o Zdrowiu z pięknymi salami wykładowymi, przestronnymi holami i zapleczem stanowią wymarzone i niezwykle wygodne miejsce do obrad, wystaw i cateringu. A sam Białystok! Nasze miasto potrafi zachwycić feerią zieleni, pięknym i coraz intensywniej żyjącym rynkiem, całkiem przyzwoitymi hotelami zlokalizowanymi w najbliższym sąsiedztwie akademickiego kampusu, niezwykłym kolorytem miasta łączącego kulturę zachodu i wschodu. Tęgo nie dosyć, bo najważniejsi są przecież żyjący tu ludzie. Wszak oni decydują o wrażeniu wywiezionym ze stolicy Podlasia. I tu – totalne zaskoczenie! Okazuje się, że nie trzeba ze świecą szukać wybitnych talentów. Wracając do wspomnianego na początku Zjazdu PTP, to dzięki tym talentom, spotkanie miało oprawę socjalno-towarzystką godną królewskiego dworu, a przynajmniej dworu Jana Klemensa Branickiego. Trio akordeonistów – chłopców ze średniej szkoły muzycznej i ich mistrzowskie wykonania utworów muzyki klasycznej zachwyliło nawet takiego „starego wygę”, jakim jest znakomity naukowiec Fred Bosman z Lozanny. Nasz chór akademicki pod batutą pełnej osobistego uroku Pani Anny Moniuszko za wykonanie mszy gospel dostał owacje na stojąco i bisował. I to co mamy najcenniejsze, a co jakże rzadko eksponujemy i z czego równie rzadko korzystamy, to wielokulturowość. Moi goście byli zachwyceni Ławrą Supraską. Koncert dzwonów w wykonaniu chłopców – jeden miał osiem, drugi dziewięć lat, oktett mnichów prawosławnych, który wyśpiewał całą historię rozwoju prawosławnej muzyki liturgicznej i opowieści księdza Włodzimierza Misijuka (kapelana USK) o duchowości prawosławia, pokazały Podlasie w najwspanialszych barwach. Proponuję wykorzystanie sezonu urlopowego na poznanie skarbów Podlasia. Nie Baleary, nie Haiti, czy Majorka. Nasze rodzime, nieznane Podlasie!



Supraska

Hymn. Pierwsza przymiarka

Powstały słowa do utworu, który być może będzie hymnem Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. Oddzielnie do nich ma być skomponowana muzyka

Słowa wyszły spod ręki Apoloniusza Ciołkiewicza, emerytowanego nauczyciela, pochodzącego z Grajewa. Twórca jest absolwentem filologii polskiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Obecnie znany jest głównie jako autor fraszek.

- Te słowa to propozycja, którą chcemy poddać pod publiczną ocenę. Stanowisko w tej sprawie ma też zabrać kapituła, która nadzoruje prace związane z powstaniem hymnu - informuje prof. Lech Chyczewski, rzecznik uczelni i jednocześnie pełnomocnik rektora UMB w ds. hymnu.

Obecnie do tych słów komponowana jest muzyka. Jej autorem jest również artysta pochodzący z regionu. Prof. Chyczewski na razie nie chce zdradzać jego nazwiska, aby nie wywierać na nim niepotrzebnej presji.

- Żeby móc w pełni ocenić utwór, chcemy razem usłyszeć słowa z muzyką. Zupełnie inaczej odbiera się każdy z tych elementów osobno - przekonuje profesor.

Kapitulę bardzo zależało na tym, aby utwór był silnie zakorzeniony lokalnie. By słowa i muzyka odnosiły się do tego, co otacza uczelnię. Warszawski Uniwersytet Medyczny zamówił słowa swojego hymnu u Jacka Cygana. Jednak cały utwór jest na tyle uniwersalny, że po drobnych przeróbkach, mogłyby być hymnem nawet w Białymstoku.

Pierwotnie planowano, że powstały hymn zainaugurowałby nowy rok akademicki. W tej chwili trudno przewidzieć, jak będzie przebiegać proces komponowania utworu oraz późniejsze konsultacje i ocena dokonana przez kapitułę.

- Być może trzeba będzie szukać dalej. Tego jeszcze nie wiemy, czekamy na skomponowanie całego utworu i wtedy będzie można podjąć decyzję - dodaje prof. Chyczewski.

Idea stworzenia hymnu UMB narodziła się w zeszłym roku, podczas II zjazdu absolwentów uczelni w Chicago. Pierwowzorem była pieśń XIX-wieczne-

go Uniwersytetu Notre Dame. W założeniu hymn ma być elementem scalającym środowisko akademickie uczelni oraz jej absolwentów. Miałby być także przejawem uczelnianego patriotyzmu.

dlewska, prof. Sławomir J. Terlikowski, przedstawiciele studentów, muzycznych ekspertów: Bożeny Sawickiej - dziekana w Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Białymstoku i jednocześnie

Hymn Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku

Tam, gdzie Podlasia zielone serce bije
i gdzie Branickich Pałac dumnie trwa,
uczelnia nasza od lat wielu żyje
i szczytne cele w swym działaniu ma.

Refren:

*Medyczna uczelnia. Tu kadra rzetelna
kształci medyków, wysyła ich w świat,
a zdrowie pacjenta to dla nich rzecz święta,
Hipokratesa szanują od lat.*

W mieście, gdzie są planty, gdzie Kościuszki Rynek,
uczą w cierpieniu ludziom pomoc nieść.

Tutaj zakłady i kliniki słynne
wskażą, jak w czyny przekuć mądrą treść.

Refren:

*Medyczna uczelnia. Tu kadra rzetelna
wciąż kształci medyków, wysyła ich w
świat, a zdrowie pacjenta to dla nich
rzecz święta, Hipokratesa szanują od lat.*

Wzorem Eskulapa, i z mądrością węża,
zdrowie przywracać każdy medyk chce,
a gdy się uda, śmierć nawet zwyciężać
i służyć ludziom na dobre i złe...

Refren:

*Medyczna uczelnia. Tu kadra rzetelna
wciąż kształci medyków, wysyła ich w
świat, a zdrowie pacjenta to dla nich
rzecz święta, Hipokratesa szanują od lat.*

Apoloniusz B. Ciołkiewicz

Od pomysłu do jego realizacji władze uczelni zabrały się bardzo szybko. Powołano też kapitułę konkursową (składa się z władz uczelni: rektor prof. Jacek Nikliński, szef fundacji UMB prof. Sławomir Wołczyński, rzecznik UMB prof. Lech Chyczewski, dziekani: prof. Irina Kowalska, prof. Elżbieta Skrzy-

dyrygenta uczelnianego chóru oraz Roberto Skolmowskiego - dyrektora Filharmonii Podlaskiej, a także przedstawiciele władz Białegostoku - Włodzimierza Kusaka, przewodniczącego Rady Miasta).

bdc

Ogród Branickich wciąż pięknieje

Odnowiony salon ogrodowy Pałacu Branickich już zwraca uwagę swoją urodą. A będzie jeszcze piękniejszy, bo miasto planuje kolejne inwestycje. Być może już za kilka lat można będzie pływać łódką po stawach obok pałacu

fot.: Wojciech Więcko



Ogrody Branickich widziane z pałacowego tarasu

Ogród Branickich, jako jedyny z Podlasia, został kilka tygodni temu nominowany do siedmiu cudów funduszy europejskich. Jest to prestiżowy konkurs organizowany przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego. Ma na celu wyłonienie „7 cudów funduszy europejskich”. Chodzi o pokazanie wpływu pieniędzy z Unii na rozwój Polski i zachodzące w niej zmiany - zarówno w sferze krajobrazu, jak też w sposobie spędzania przez nas wolnego czasu. I choć w tym roku ogród nie został laureatem, ma na to szanse w kolejnych latach. Miasto planuje bowiem dalsze prace renowacyjne. Już w czerwcu mają się pojawić dwie nowe rzeźby - satyra i bachantki. Będą to lustrzane odbicia dwóch herm, które od ubiegłego roku już stoją w ogrodzie. Docelowo ma być ich osiem - po cztery pary, przy każdym wejściu z salonu do boskietu (w przyszłości szpaler drzew o wysokości sześciu metrów ma zostać odtworzony w miejscu, gdzie rosną obecnie lipy i klony (patrząc z pałacu - park po lewej stronie).

- Pierwsza para herm zostanie ustawiona do końca czerwca 2013 r. Dwie kolejne pary zostaną wykonane i ustawione do końca czerwca 2014 r - informuje Magdalena Jurczak z Biura Komunikacji Społecznej Urzędu Miasta w Białymstoku.

Wysokie na 2,5 metra rzeźby wykonane są z piaskowca i, tak jak pozostałe statuy w ogrodzie, zgodnie z historycznym przekazem malowane na biało. Para herm zostanie ustawiona przy czwartej alejce (licząc od pałacu), tj. w lustrzanym odbiciu alejki nr 2, przy której w roku ubiegłym ustawiono pierwszą z czterech docelowych par rzeźb tzw. satyrów. Autorem rzeźb jest Michał Jackowski (rozmowa z rzeźbiarzem na stronie 6).

Pracownica magistratu przyznaje, że obecnie trwają prace nad specyfikacją przetargową na wykonanie projektu budowlanego kolejnego etapu renowacji ogrodu Branickich.

- Przetarg planujemy ogłosić jesienią tego roku - mówi Jurczak. - Reszta

jest uzależniona od wyników przetargu i od zdobycia środków zewnętrznych na realizację tego zadania.

Nie chce jednak zdradzić, co będzie poddane renowacji w kolejnych miesiącach.

- Na razie jest trochę za wcześnie, by mówić o konkretach - mówi.

Jak jednak opisał „Kurier Poranny”, zmian będzie dość dużo i będą one dotyczyć w większości tzw. ogrodu dolnego. Woda z salonu ogrodowego ma być przekierowana do dziury w murze oporowym obok Pawilonu pod Orłem. Urzędnicy chcą, by znalazła się tam rzeźba głowy Neptuna, z którego ust leciałaby woda. Podobna ścienna fontanna ma też się znaleźć w murze oporowym tuż przy mostku od strony Plant. Koncepcja rewaloryzacji zakłada również na terenie położonym pomiędzy murem oporowym, a kanałem odtworzenie bindaży (konstrukcji, po której będzie się pięć roślinność) oraz nasadzenie lip na kwaterach wzdłuż bindaży. Obecnie ogród dolny bar-

dziej przypomina współczesny park miejski niż ogród barokowy. Znajdują się tu alejki parkowe - częściowo dawne alejki wytyczone w latach 50. i 60., częściowo ścieżki wydeptane przez spacerowiczów (zwłaszcza na ciągu komunikacyjnym pałac - brama parkowa). W planach jest przebudowa alejek parkowych, które z jednego punktu będą się gwiazdźście rozchodzić we wszystkie strony. Miasto planuje również odtworzyć staw, który przed wiekami istniał w wysuszonym dziś wgłębieniu przy wejściu do Ogrodu Branickich od strony kościoła farnego (obecnie wgłębienie porośnięte jest trawą i samosiewem). Zachowały się XVIII-wieczne ryciny, na których widać, jak kiedyś przy Pałacu Branickich białostoczanie pływali łódkami. Być może uda się wrócić do tej tradycji.

Zachowały się XVIII-wieczne ryciny, na których widać, jak przy Pałacu Branickich białostoczanie pływali łódkami. Być może uda się wrócić do tej tradycji

Odtworzona ma zostać także wyspa, do której będą prowadzić kładki. Woda wpływać będzie do stawu istniejącym dziś kanałem, który zyska jeszcze jedną odnogę. Dokumentacja powinna być gotowa do końca roku. Następnie miasto zajmie się szukaniem pieniędzy na realizację planów.

By ogród odzyskał pełen blask potrzeba jeszcze wielu prac. Oprócz ogrodu dolnego w przyszłości rewitalizacji muszą zostać poddane boskiety, utworzony musi zostać ogród chiński i zrekonstruowany pawilon chiński (pawilon ten znajdował się, przy wejściu do ogrodu z Plant, po prawej stronie; obecnie jest tam budynek gospodarczy). Brakuje również wielu rzeźb m.in. 16 putt (motyw dekoracyjny przedstawiający małego chłopca).

km

Detektyw w ogrodach

Michał Jackowski jest rzeźbiarzem, który pracuje przy odzyskujących swój blask Ogrodach Branickich. Rozmawiamy z nim o tym jak one się w przyszłości zmienią

KATARZYNA MALINOWSKA-OLCZYK: Od kilku lat pracuje Pan przy rewaloryzacji ogrodu Pałacu Branickich. Co wyszło spod Pana ręki?

MICHAŁ JACKOWSKI: - Pierwsza była konserwacja rzeźb z głównej alei salonu ogrodowego. Było ich 16, a każda składała się z postaci i cokołu. A każdy cokół składał się z czterech elementów. Do mojej pracowni przyjechały trzy czy nawet cztery ciężarówki z różnymi fragmentami. Najpierw musiałem zrobić inwentaryzację, co jest do czego. Praca nad całością zajęła około trzech lat. Potem rekonstruowałem altanę pod orłem. Było to trudne zadanie pod względem logistycznym. Trzeba było zebrać zespół ludzi i musieliśmy pracować pod olbrzymią presją czasu. Na wykonanie altany mieliśmy tylko sześć czy siedem miesięcy i gdybyśmy się spóźnili choć tydzień, miasto straciłoby pieniądze z dotacji unijnej. Samych profili jest tam ponad 40 metrów! Trzeba było zrobić ponad 40 złożonych girland kwiatowych, dwa popiersia, rozety, całe zwieńczenie pokrywę.

Z czego ta pierwsza altana za czasów Branickiego była zrobiona?

- Oryginał był z drewna. W czasach Branickiego była to ptaszarnia, gdzie trzymano ptaki w klatkach. Sam Branicki za swojego życia dwukrotnie tę altanę odbudowywał. Była ona traktowana, jako swego rodzaju scenografia. Jak się zepsuła, robiono nową. Miasta na to nie stać. My postanowiliśmy zachować formę, jakby była to konstrukcja z drewna. Zastosowaliśmy zaś materiał odporny na działanie czynników atmosferycznych. Użyliśmy kompozytu, podobnego do tego, jaki jest wykorzystywany do produkcji pełnomorskich jachtów. Najpierw były robione rzeźby, a na ich podstawie odlewy. Na koniec wszystko było wykończane ręcznie i pokrywane 24-karatowym złotem, które było kładzione metodą jak za dawnych lat.



fot.: Katarzyna Malinowska-Olczyk

Michał Jackowski

Do naszych czasów zachowało się niewiele oryginalnych rzeźb. Na czym opiera się Pan przy rekonstrukcjach?

- Z wykształcenia jestem konserwatorem rzeźby, a rekonstrukcja jest można powiedzieć moim „konikiem”. I mimo że już mam pewną wiedzę, do każdej takiej pracy muszę się przygotować, przeprowadzić swoistą pracę detektywistyczną. Konsultuję się z ks. Janem Niecieckim, historykiem sztuki i największym ekspertem na temat Pałacu i otaczających go ogrodów. Z tym że ks. Nieciecki patrzy na pałac i ogród jako historyk sztuki, naukowiec. A ja patrzę jako artysta. I czasem widzimy zupełnie co innego. Wiele godzin spędziłem w bibliotece na czytaniu listów Branickiego i „Teki” Glinki. Są tam opisy, co stało w danym miejscu. Oglądałem też zachowane grafiki i ryciny. Ryciny w ówczesnych czasach były robione bardzo precyzyjnie, z zachowaniem proporcji. Na podstawie wysokości budynku, gzymsów, można dojść, jakiej wysokości była dana rzeźba. Ponadto w tamtych czasach wiele rezydencji było wzorowanych na Wersalu.

No właśnie. Niedawno specjalnie pojechał pan do Wersalu pooglądać sobie rzeźby...

- Tak i żałuję, że dopiero teraz. Bo, co prawda, oglądałem różne publikacje, ale to nie to samo, co zobaczyć wszystko na żywo. W tamtych czasach była pewna moda na rzeźby. Powtarzały się tematy.

Podobne wzory są w wielu ogrodach Europy. Np. w Wersalu jest bachus identyczny jak u nas. Tak samo trzyma kielich, nawet splot koszyka jest ten sam. Widać jednak, że wykonał to inny rzeźbiarz, inna jest bowiem maniera przedstawienia postaci. W Wersalu rzeźby są zrobione z białego marmuru. U nas były wykonane z piaskowca i malowane na biało. I teraz już rozumiem, jaki był tego cel. W Wersalu widać pełen efekt - na tle zieleni białe rzeźby. Jest pełna scenografia, kontrast, wygląda to po prostu pięknie.

Za czasów Branickiego te rzeźby też były z piaskowca? Dlaczego nie z marmuru?

- Po pierwsze inna jest odległość Wersalu od Italii, a inna Białegostoku. No i innym budżetem dysponował Branicki. Piaskowiec mieliśmy swój, więc było i taniej, i łatwiej. Niektóre rzeźby (np. wazy zdobiące balustradę i elementy altany) były robione z drewna i malowane lub bielone wapnem. Rzeźby w ogrodach Branickiego wykonał Jan Chryzostom Redler. Zachowała się np. jego korespondencja, gdzie opisuje, jak ustawiano hermy (słupki zakończone rzeźbą głowy zwężające się ku dołowi - red.) z bachantkami i satyrami. Pisał, że czekano jakiś czas, aż zelżeje mróz. Były one robione z kilku fragmentów piaskowca i żeby je postawić, trzeba było zalać dyble (zamocowania - red.) gorącym ołowiem.

Powiedział Pan, że w czasach Branickiego była pewna moda na ogrody przy dworach magnackich i tematyka się powtarzała.

- W modzie były postacie z mitologii greckiej lub rzymskiej. Np. w Wilanowie wszystko podporządkowane jest Marsowi, a u nas wszystko związane jest z mitem Herkulesa. Brakuje kogoś, kto by oprowadzał po ogrodzie i tłumaczył, co jest w danym miejscu i dlaczego, bo w tym wszystkim jest logika. Byłaby to niezła podróż po mitologii. To nie przypadek, że np. w altanie jest postać Juventas, (z łac. młodość), a na dachu orzeł z jabłkiem w dziobie. W altanie pokazany jest moment, kiedy Herkules po śmierci wstępuje na Olimp. I dostaje za żonę Juventas, która zajmowała się polewaniem nektaru bogom. Orzeł ma jabłko, jako symbol nagrody. I ten orzeł to postać Zeusa.

Teraz zajmuje się Pan rekonstrukcją rzeźb satyrów i bachantek. Pierwsza para od jesieni ub. roku już stoi w ogrodzie, kolejna

para stanie w czerwcu. Kiedy będą gotowe wszystkie hermy?

- Wejścia do boskietów (z franc. znaczyc gajk, zagajnik; w ogrodach francuskich to gęsta grupa drzew lub krzewów o strzyżonych ścianach - red.) były cztery, dwa narożne i dwa pośrodku. I przy wejściach do tych boskietów stały pary herm. Przedstawiały one satyrów i bachantki (wszyscy tworzyli orszak Dionizosa; bachantki to kapłanki Dionizosa, satyrowie to demony leśne uganiające się za bachantkami - red.). Pierwsza para rzeźb stoi od strony pałacu. Kolejna para już w czerwcu ma zostać ustawiona od strony sfinksów. Rzeźby te musieliśmy zrekonstruować. Do naszych czasów zachowały się trzy źródła. Pierwsze - to nieudolnie odtworzony postument, z zaburzonymi proporcjami, który jest w pałacu (w holu głównym tuż obok schodów - red.). Oryginalna jest tam jedynie głowa starego satyra z brodą. Są też dwa powojenne zdjęcia: hermy z postumentem z głową satyra (młodego bez brody) oraz zdjęcie bachantki, a raczej samego postumentu, na którym widać zarys piersi i szaty, a nie ma ani głowy, ani rąk. To pozwoliło nam wysnuć przypuszczenie, że były różne hermy. Dwie pary herm przedstawiały postacie bez rąk, a dwie pary były to tzw. hermy z ramionami. Na podstawie zachowanych grafik, oceniliśmy, że rzeźby te sięgały połowy wysokości boskietu, czyli miały około 2,5-3 metry wysokości. Ponadto ustaliliśmy, że bachantki nie różniły się wiekiem, w przeciwieństwie do satyrów, którzy byli przedstawiani w różnym wieku.

Kiedy te hermy z ramionami powstaną?

- Do końca tego roku mają powstać modele czterech - jak to my roboczo nazywamy - „dużych” herm. Postacie będą „bogatsze”, odziane w skóry i będą trzymać odpowiednie atrybuty, np. bachantki będą mieć w dłoniach tambury i kwiaty, a satyrowie fletnie.

Jak od strony technicznej wygląda rekonstrukcja tych rzeźb?

Michał Jackowski, jest białostoczaninem. Ukończył Wydział Konserwacji Dzieł Sztuki Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Na studiach kształcił się również z grafiki warsztatowej, filmu animowanego, a także w pracowni rzeźby. Swoją pracownię ma od 10 lat. Jego realizacje można oglądać w Polsce, ale i za granicą, m.in. w Sankt Petersburgu czy Londynie. Białostoczanie pracę jego autorstwa („Podróż”) mogą podziwiać na ul. Lipowej.



fot.: Katarzyna Malinowska-Olczyk

Rzeźba bachantki

- Najpierw przygotowuję szkice, tzw. projekt rysunkowy, na bazie którego powstaje bozzetto, czyli projekt rzeźbiarski. Akurat w przypadku tych ostatnich herm rzeźba była na tyle prosta, że nie trzeba było robić bozzetta. Z plasteliny rzeźbiarskiej wykonałem jedynie głowę satyra w skali 1:1. Kiedy projekt został zaakceptowany przez historyków sztuki, można było zacząć kuć. Rzeźby te są wykonane z piaskowca sztydłowieckiego.

Dostaje Pan kamienny blok piaskowca i...

- Od dwóch lat dysponujemy w naszym warsztacie maszyną cyfrową, do obróbki kamienia. To jedyna taka maszyna w Polsce. Pomaga nam wykonywać zarys rzeźby. Do tej pory, mając model, punktownicą zaznaczało się odległość każdego punktu i ręcznie kuło kamień. Teraz wykonuje się skan 3D modelu (powstaje sieć punktów, którą wprowadza się do komputera) i maszyna wedle „zadanego” projektu z grubszą frezem diamentowym frezuje kamień. I powstaje ogólny zarys rzeźby. By uzyskać końcowy efekt konieczna jest praca ręczna. Nie jest tak, że maszyna robi całą rzeźbę. Wszystkie szczegóły, rysy twarzy trzeba wykończyć ręcznie. Wzór zawsze pochodzi od artysty.

Rozmawiała Katarzyna Malinowska-Olczyk

List do Medyka: medyk@umb.edu.pl

Quo vadis medicinae, co się dzieje?

Żyję już wystarczająco długo, aby rzeczywistość mogła mnie zaskoczyć, a jednak... Pragnę podzielić się z Czytelnikami garścią spostrzeżeń na temat kontaktów lekarza z pacjentem, czy jego rodziną

Problem był dyskutowany w marcowym numerze „Medyka Białostockiego” w kontekście wydarzeń w Uniwersyteckim Dziecięcym Szpitalu Klinicznym. Zdaję sobie sprawę, że mogę być podejrzany o stronniczość, gdyż w jednej z opisanych spraw byłem stroną. Do refleksji skłoniły mnie autentyczne sytuacje, w które normalnie trudno jest uwierzyć, że mogą mieć miejsce.

Coraz trudniej przychodzi mi zrozumienie i zaakceptowanie zmian, jakie zachodzą w relacjach między lekarzem, pacjentem i jego rodziną. Z niepokojem obserwuję narastające zjawisko nietolerancji i agresji, a przecież wzajemne zaufania pacjenta i lekarza to podstawa leczenia. Niewątpliwą rolę odgrywa w tym Narodowy Fundusz Zdrowia, który działa z pozycji monopolisty. Określa i wycenia standardy postępowania lekarskiego, rozliczając świadczone przez nas usługi. Pacjent to obecnie nie chory człowiek, a świadczeniobiorca.

Z domu rodzinnego wyniosłem głęboki szacunek dla zawodu lekarskiego, uważając go za rodzaj powołania. Oboje rodzice ukończyli medycynę, a ojciec i teść zostali profesorami. Sam jestem klinicystą z ponad 40-letnim stażem i z niepokojem obserwuję zachodzące zmiany. Pamiętam początki mojej pracy w Klinice Chorób Wewnętrznych w Łodzi. Uprawianie medycyny było wówczas trudniejsze, lekarze nie dysponowali tak doskonałymi metodami diagnostycznymi, ogromnie liczyło się doświadczenie, określane mianem „lekarskiego nosa”. Terapia często opierała się na zasadzie *ex juvantibus*. Prawidłową diagnozę, której w 100 proc. nie dało się ustalić, potwierdzały korzystne wyniki leczenia. Za to 2-3 razy dłuższy pobyt chorego w szpitalu sprzyjał nawiązaniu mimowolnej więzi z leczącym lekarzem. Pozycja i autorytet profesora, szefa kliniki były ogromne. Wynikało to z jego wiedzy i doświadczenia lekarskiego.

Niewyobrażalny postęp medycyny sprawił, że dysponujemy obecnie zupełnie innymi możliwościami diagnostycznymi i terapeutycznymi. Niestety lekarz utracił swoją pozycję, stał się świadczeniodawcą w ramach NFZ. Urzędnicy NFZ wymagają, aby diagnoza była szybka, terapia krótka, leczenie obejmowało jedną - zgodnie ze skierowaniem - chorobę. Do tego dochodzi, rozbudowana do granic absurdu, papierologia i wycena kosztów leczenia, ustalana często z sufitu. NFZ próbuje leczenie szpitalne zrównywać z działalnością produkcyjną. W tych warunkach doświadczony klinicysta, profesor, nie jest potrzebny, wystarczy internet.

Przeraza mnie rosnąca agresja w relacjach lekarz - pacjent, lub jego rodzina. Szokiem była okładka magazynu „Wprost” z kwietnia 2009 r. z pytaniem: „A ty już dałeś w mordę lekarzowi?”. Napisano wówczas, że aż 40 proc. pracowników służby zdrowia zetknęło się z agresją ze strony pacjentów. Trudno zresztą dziwić się reakcji chorego, kiedy dowiaduje się, że na wizytę u specjalisty, czy zabieg, czekać musi kilka miesięcy lub lat. Gdzie najłatwiej wyładować swoje emocje? Na rejestratorce, pielęgniarce czy lekarzu. Niewielu udaje się na skargę do NFZ.

„Gazeta Wyborcza” w marcu br. donosiła o nowej praktyce filmowania telefonem komórkowym przez rodziny pacjentów kontaktów z przedstawicielami służby zdrowia. Towarzyszy temu rosnąca nieufność i wątpliwości wobec postępowania lekarskiego. Faktem jest, że zmienia się profil pacjentów. Przeważają chorzy w podeszłym wieku, których oczekiwania są coraz większe. Co więcej, trudno rozmawiać także z rodzinami niektórych pacjentów. Nowoczesna terapia wiele może, ale ma swoje ograniczenia. Stąd wątpliwości związane np. z uporczywym leczeniem, a w Polsce brakuje szczegółowych przepisów na ten temat. Czy należy przedłużać życie za

wszelką cenę? Przecież przychodząc na świat każdy z nas otrzymuje bilet w drugą stronę. To bardzo trudne problemy, o których należy rozmawiać z pacjentem i rodziną. Pytania te zadawano sobie od zawsze, ale teraz jakby trudniej na nie odpowiedzieć. Działamy pod presją czasu, hospitalizacja trwa krótko, liczą się koszty leczenia. W tych warunkach jeszcze bardziej ujawniają się problemy nękające system zdrowia. Lekarz jest chłopcem do bicia. Przestał być autorytetem, jest świadczeniodawcą w ramach służby zdrowia. Dodatkowo sylwetkę medyka kreują seriale telewizyjne. Nie ma co się dziwić ludziom, którzy widząc na ekranie, w jakich warunkach może przebiegać hospitalizacja i leczenie, oczekują tego w codziennym życiu. Ale część winy ponosimy sami. Lekarzom brakuje przygotowania do takiej trudnej rozmowy, czasem nie potrafimy rozmawiać.

Nie myślałem, że tak szybko nowe zwyczaje przeniosą się na Podlasie. To moje najnowsze doświadczenie. Także u nas rodziny pacjentów zaczynają filmować. Co więcej, o wyjaśnienie wątpliwości dotyczących terapii, zwracają się nie do lekarza, ale prosto do gazety. Dyskusja o leczeniu za pośrednictwem prasy!

Jako konsultant wojewódzki zdaję sobie sprawę, że często proces diagnostyczny i terapeutyczny nie przebiega zgodnie z oczekiwaniami chorego czy rodziny. Zgodny jest natomiast z zaleceniami i finansowaniem procedury przez NFZ. Przyczyny są prozaiczne: tak krańcowo, jak mu materii staje. Uważam, że zaufanie pacjenta do lekarza to rzecz podstawowa, bez której trudno o skuteczną terapię. Niezbędna jest też empatia z drugiej strony. O to w obecnych czasach coraz trudniej. Dlatego też pytam, co się dzieje ze współczesną medycyną?

**Prof. Włodzimierz Musiał,
kierownik Kliniki Kardiologii**

Klient zamiast pacjenta

Trawestując św. Pawła: „jeśli miałbyś empatię, a miłości byś nie miał, będziesz jak miedź brzęcząca”. Empatia oparta na życzliwości i miłości jest cechą szczególnie ważną w pracy lekarza – przekonuje dr hab. Jacek Breczko

KATARZYNA MALINOWSKA-OLCZYK: W połowie maja przedstawił Pan wykład pt. „Empatia w etyce i kulturze współczesnej - co lekarz wiedzieć powinien”. Zatem, co lekarz powinien wiedzieć o empatii?

DR HAB. JACEK BRECKO, adiunkt w Studium Filozofii i Psychologii Człowieka: - Wykład trwał półtorej godziny i omówienie go wypełniłoby zapewne cały numer „Medyka”. Ograniczę się zatem do spraw najważniejszych. Wykład miał trzy części. W pierwszej skoncentrowałem się na pojęciu „empatii”, na jego genezie i różnych znaczeniach. Empatia może być bowiem intelektualna i emocjonalna. W intelektualnej próbujemy wnikać w punkt widzenia innego człowieka, zaś w emocjonalnej próbujemy wnikać w jego uczucia. Tym się jednak różni od litości, że jest to - by tak rzec - aktywność świadoma i bardziej dogłębna. Tu jednak niespodzianka; skoro jest to aktywność świadoma, to nie musi być - jak litość - oparta na sympatii, życzliwości, miłości, ale może mieć też w tle niechęć, nienawiść. Empatia z nienawiścią w tle wiąże się z okrucieństwem (kat, który wczuwa się w cierpienia ofiary i raduje się nimi); empatia z życzliwością i miłością w tle wiąże się z „żałowaniem”, „współczuciem”. Może więc być empatia negatywna i pozytywna. Trawestując św. Pawła: „jeśli miałbyś empatię, a miłości byś nie miał, będziesz jak miedź brzęcząca”. Otóż owa empatia pozytywna, oparta na życzliwości, sympatii i miłości - bardziej dogłębna niż „odruchowa litość” - jest cechą szczególnie ważną w pracy lekarza i w etosie lekarskim.

A o czym Pan mówił w kolejnych częściach

- W drugiej części wykładu ułożyłem najważniejsze doktryny etyczne, które pojawiły się w dziejach, na skali od wysokiej empatii pozytywnej, przez średnią, niską, aż do empatii negatywnej. Skoro uznaliśmy, że empatia pozytywna jest istotną cechą etosu lekarskiego, mogłem w ten sposób wyróżnić doktryny etyczne lepiej i gorzej dopasowane do etosu lekarskiego, lepiej i gorzej z nim

współgrające, czyli - krótko mówiąc - godne polecenia lekarzowi i takie, których lekarz powinien raczej unikać.

W trzeciej części wykładu próbowałem rozważyć, jaka jest ranga, kondycja pozytywnej empatii w kulturze współczesnej. Wydaje mi się, że kultura współczesna jest kulturą - z wielu powodów - nieprzychylną empatii, blokującą empatię; mimo że dużo się o niej mówi (gdy czegoś brakuje, to się o tym mówi). A zatem jest kulturą nieprzychylną tradycyjnemu etosowi lekarskiemu. Wiąże się to - ale, podkreślam, to tylko jedna z przyczyn - ze zwycięstwem amerykanizacji, czyli z pragmatyzacją i funkcjonalizacją kultury. Tworzy się mechanizmy (które choć mają być sprawne, nie zawsze są), procedury, algorytmy; wszystko to powiązane z parametryzacją, z obliczalnością. Lekarz staje się specjalistą wykonującym procedury i posługującym się nowoczesną techniką, a pacjent staje się klientem. Uderza to w tradycyjny etos lekarski, uderza w „żywy” kontakt lekarz - pacjent; wypłukuje ową pozytywną empatię. Prowadzi też do szybszego wypalenia zawodowego.

Uczelnia wprowadza nowy przedmiot „Profesjonalizm z medycynie”. Co nowego on wniesie i czy jest, Pana zdaniem, potrzebny? Przecież już teraz studenci uczą się np. etyki.

- Pojawiła się pewna okazja, możliwość i postanowiono ją wykorzystać. Otóż w „Nowych Standardach Kształcenia” dla uczelni medycznych, opracowanych przez ministerstwo, pojawiło się sformułowanie „elementy profesjonalizmu” wraz różnymi programowymi uszczegółowieniami. Profesjonalizm jest uczony na uczelniach zachodnich i pewnie taka jest geneza umieszczenia tego przedmiotu w standardach kształcenia (jako kalka językowa niezbyt dobrze brzmi po polsku). W jaki sposób postanowiono tę okazję wykorzystać? Otóż - o ile dobrze rozumiałem intencje władz uczelni - w sposób podwójny. Jako okazję do zwiększenia ilości przedmiotów i treści humanizujących. A także jako możli-



Narzucanie lekarzowi sposobów działania, choć nie zawsze się one sprawdzają, niszczy jego autorytet i realizację z pacjentem - uważa Jacek Breczko

wość bliższego zapoznania studentów z praktyką, z profesją lekarza poprzez zajęcia z klinicystami, którzy są zarazem wybitnymi specjalistami i autorytetami. Czy należy zwiększać ilość treści humanizujących, zwiększając na przykład liczbę godzin zajęć z etyki lekarskiej, a jednocześnie nie powtarzając tych samych zagadnień? Zdecydowanie tak. Z jednej strony bowiem niezbędna jest w medycynie postępująca specjalizacja, a pewnie i wkraczanie w świat procedur (oby niezbyt mechanicznych, bardziej elastycznych), ale też należy bronić tej tradycyjnej strony; nie tylko techniki, ale i sztuki lekarskiej, oraz tradycyjnego etosu lekarskiego powiązanego ze współczującą empatią. Należy tym silniej bronić tej tradycyjnej strony, że jest ona obecnie zagrożona. Należy nawiązywać do tradycyjnego obrazu lekarza-humanisty. Zauważmy, że zawód lekarza należał zawsze do najważniejszych, najbardziej szanowanych zawodów inteligentnych. Dawniej zaś „profesjonalny inteligent” musiał też być humanistą, musiał mieć szerokie horyzonty; musiał, na przykład, znać się na historii, filozofii, literaturze.

**Rozmawiała
Katarzyna Malinowska-Olczyk**

Zapis wykładu dr hab. Jacka Breckiego zamieścimy w kolejnym numerze „Medyka”.

Przeszczepili twarz i uratowali życie

Chirurdzy z Centrum Onkologii w Gliwicach przeprowadzili pierwszy w Polsce przeszczep twarzy ratujący życie. Dawcą był mieszkaniec Podlasia

Pacjent, 33 latek pochodzący z okolic Wrocławia czuje się coraz lepiej i wraca do zdrowia. Pod koniec kwietnia uległ nieszczęśliwemu wypadkowi w pracy – maszyna do ciecienia kamieni dosłownie „ścięła” mu twarz. Próba replantacji jego własnej twarzy się nie powiodła. Jedynym ratunkiem był przeszczep twarzy. W czasie, kiedy lekarze walczyli o utrzymanie go przy życiu, inny zespół – lekarzy w Białymstoku walczył o życie 33-letniego mężczyzny, który doznał urazu głowy. Niestety uszkodzenia mózgu ukazały się na tyle poważne, że nastąpiła śmierć mózgu. Matka mężczyzny zgodziła się na pobranie wszystkich narządów do przeszczepu, w tym także twarzy. 14 maja śmigłowiec sanitarny przetransportował ciało mężczyzny z Białegostoku do Gliwic. Tam czekał już zespół chirurgów gotowych podjąć się transplantacji.

Zabieg trwał ponad 25 godzin. Zespół chirurgów kierowanych przez prof. Adama Maciejewskiego przeszczepił rozległe powłoki skórne twarzy i czaszki (mają grubość ok. 2,5 cm) oraz szkielet górnej i środkowej części twarzy. Był to niezwykle trudny zabieg, lekarze musieli wykorzystać techniki mikronaczyniowe do łączenia żył i tętnic o średnicy ok. 2 mm. Po operacji najważniejsze były pierwsze dni – lekarze obawiali się, by nie doszło do zakażenia. Pacjent nadal przebywa w sterylnych warunkach i otrzymywał leki zapobiegające odrzuceniu przeszczepu (choć ich dawki są stopniowo zmniejszane, będzie je musiał przyjmować do końca życia). Po kilkunastu dniach od przeszczepu mężczyzna mógł już jeść, rozmawiać, był też w pełni samodzielny, korzystał z tablety i oglądał telewizję. Zdjęto mu już wszystkie szwy. Teraz czeka go długa rehabilitacja. Według lekarzy na uzyskanie mimiki twarzy trzeba będzie poczekać minimum pół roku.

Do tej pory na świecie wykonano niewiele ponad 20 operacji przeszczepu twarzy. Ten zrobiony przez lekarzy z Gliwic był pierwszym na świecie przeszczepem twarzy tzw. pilnym, czyli ze

wskazań życiowych. Jak poinformował szef zespołu prof. Adam Maciejewski, gdyby nie ta operacja, mężczyzna by nie przeżył.

Jak pisze „Gazeta Wyborcza” chirurdzy z Gliwic już od trzech lat przygotowywali się do przeszczepu twarzy. Wielokrotnie powtarzali operacje na zwłokach – próbowali zarówno częściowych przeszczepów, jak i całościowych obejmujących fragmenty tkanek od linii włosów na czole po obojczyki. Drugim elementem przygotowań było uzyskanie formalnej zgody na przeszczep oraz stworzenie wielodyscyplinarnego zespołu zdolnego sprawnie współpracować przy tak skomplikowanym zabiegu. Trzon zespołu, który dokonał pierwszego w Polsce przeszczepu twarzy to chirurdzy rekonstrukcyjni i onkologiczni pracujący w gliwickim Centrum Onkologii, którzy mają już za sobą setki

operacji rekonstrukcyjnych przeprowadzanych u chorych na nowotwory twarzoczaszki. Jednak by przeprowadzić przeszczep twarzy, musieli połączyć siły m.in. z chirurgami plastycznymi, transplantologami, anestezjologami, psychologami, rehabilitantami. W sumie w skład zespołu weszło ok. 70 osób.

- Technicznie transplantacja twarzy jest prostsza niż operacje rekonstrukcyjne. Jest jednak dużo bardziej skomplikowana pod względem logistycznym, a także pod kątem postępowania już po zabiegu, kiedy trzeba zapobiegać odrzuceniu przeszczepu – powiedział dla „Gazety Wyborczej” prof. Maciejewski.

Ministerstwo przyznało 220 tys. zł na tą jedną operację. Dla porównania w USA, jej koszty wyniosłyby ok. 4 mln dol.

km

Druga twarz sukcesu

Ten przeszczep to niewątpliwie jeden z większych sukcesów współczesnej polskiej medycyny. Ma on także swoją drugą stronę. Już kilka dni po przeszczepie, dziennikarze dotarli do matki dawcy. Pokazali zdjęcie zmarłego mężczyzny i jego grób. Jeden z tabloidów pokazał również twarz dawcy - wyciętą i położoną na stole - a potem krwawą masę, do której ta przeszczepiana twarz jest przykładana. Okazuje się, że zdjęcia te udostępnił lekarz z Gliwic. Na dodatek jeszcze podczas konferencji pochwalili się, że pacjent trafił do nich z Białegostoku.

Przeszczepów twarzy na świecie było do tej pory około 25. Nigdzie nie doszło do ujawnienia rodziny dawcy! Nikt też nie udostępnił takich obrazów z operacji, jak to zrobił szpital w Gliwicach. Szef zespołu, który dokonał przeszczepu, tłumaczy, że otrzymał od rodziny dawcy pisemną zgodę na publikację wizerunku i nie przypuszczał, że materiał zostanie odebrany jako drastyczny. Liczył, że media same uznają, czy można takie zdjęcia publikować, czy nie. I tą wypowiedzią jestem zszokowana. Do tego momentu myślałam, że zdjęcia z operacji zostały wykradzione.

Bo to, że dziennikarze za wszelką cenę dążą do sensacji, przestało już mnie dziwić. Pytanie: po co lekarze z Gliwic pokazali te zdjęcia? Żeby zrobić większe wrażenie? Zapomnieli chyba, że inna jest wrażliwość chirurga, a inna zwykłego człowieka. Dla nich rozgłos okazał się ważniejszy. Zapomnieli, że ten „przypadek”, to był młody mężczyzna, czujny syn, kuzyn, a może czyjaś miłości. Szkoda, że nie dostrzegli tam człowieka.

I tylko, mam nadzieję, że nie spełnią się słowa dr Marka Skiby, podlaskiego koordynatora transplantacyjnego, że będzie to pierwszy i ostatni przeszczep twarzy w Polsce.

Katarzyna Malinowska-Olczyk,
sekretarz redakcji „Medyka Białostockiego”

Doktorzy Honoris Causa UMB

Właśnie ukazała się publikacja, w której zebrano życiorysy wszystkich, którzy zostali wyróżnieni tytułem doktora Honoris Causa Akademii Medycznej w Białymstoku, a później Uniwersytetu Medycznego

Opracowanie jest niezwykle. Jest już kolejną publikacją zespołu, któremu przewodzi prof. Lech Chyczewski, a w skład którego wchodzi jeszcze Magdalena Grassmann, Paweł Radziejewski oraz Marta Piszczatowska. Przed rokiem ta sama ekipa opublikowała książkę, w której zawarła historie dotyczące pierwszych absolwentów Akademii Medycznej.

Przedstawione czytelnikom najnowsze opracowanie stanowi kolejny tom szerokiego ujęcia dziejów Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku.

Obejmuje ono historię nadawania najwyższej uniwersyteckiej godności - tytułu doktora Honoris Causa, jak też prezentuje poczet naukowców, którzy w latach 1960-2012 otrzymali to wyróżnienie w białostockiej uczelni. W części wstępnej opisano metodologię nadawania honorowego doktoratu, dokładnie omawiając podstawy prawne wyboru i akceptacji kandydatów, jak i ostateczny ceremoniał nadawania tej godności. Świetną ilustracją są trzy wybrane scenariusze uroczystości z roku 1990, 2000 i 2010. Przypominają one społeczności uniwersyteckiej te ważne karty z historii, zaś czytelnikom spoza uczelni - pokazują, jak wyglądały takie ceremonie.

Częścią zasadniczą tomu jest jednak prezentacja 42 osób, które dostały tak wielkiego wyróżnienia w Akademii, a następnie w Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku. Przyjęty schemat przedstawiania sylwetek honorowych doktorów pozwala dobrze poznać opisywane osoby. Zawiera krótki biogram, omówienie dorobku naukowego oraz osiągnięć w działalności społecznej, jak też główne powody przyznawania tej godności przez białostocki uniwersytet. Należy podkreślić, że wszystkie informacje dotyczące tych postaci są oparte na dokumentach, stąd też opracowanie ma dużą wartość jako źródło historyczne dla późniejszych badaczy. Często cytowane wypowiedzi ówczesnych przedstawicieli uczelni, a także



Doktorzy Honoris Causa Akademii Medycznej/ Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku 1950 - 2012 pod redakcją L. Chyczewskiego. M. Grassmann, P. Radziejewskiego, M. Piszczatowskiej; Białystok 2013

nierzadko współpracowników bądź uczniów osób wyróżnionych uwiarygodniają całość publikacji.

Właśnie to źródłowe ujęcie problemu świadczy o świetnym warsztacie pisarskim redaktorów wydania (Lech Chyczewski, Magdalena Grassmann, Paweł Radziejewski, Marta Piszczatowska).

Znając osobiście 16 spośród honorowych doktorów nie doszukałem się żadnych nieścisłości, ani jakiegokolwiek przesady w ich charakterystyce.

Czytając w ujęciu chronologicznym o odznaczonych naukowcach, czytelnik śledzi równocześnie dzieje uczelni. Zaczynają się one od pierwszego doktora honorowego z 1960 roku, ministra Jerzego Sztachelskiego, inicjatora powstania Akademii Lekarskiej w Białymstoku, symbolicznie uhonorowanego na 10-lecie uczelni. Natomiast 15-lecie Akademii uczczono nominacją prof. Tadeusza Kielanowskiego, pierwszego rektora i twórcę AMB. Dalsze nominacje rodzimych profesorów mówią równocześnie o białostockich szkołach naukowych, które dzięki nim powstały, jak choćby hematologii (profesorowie

Karol Buluk i Stefan Niewiarowski), ginekologii i położnictwa (profesorowie Stefan Soszka i Marian Szamato-wicz), medycyny sądowej (prof. Maria Byrdy), gastroenterologii (prof. Antoni Gabryelewicz), biochemii klinicznej (prof. Jan Prokopowicz) lub diabetologii (prof. Ida Kinalska).

W 2010 roku doktorem honoris causa został prof. Jan Górski, fizjolog, który będąc rektorem doprowadził do finału przekształcenie Akademii w Uniwersytet Medyczny i przekazał uniwersyteckie berło J.M. Rektorowi prof. Jackowi Niklińskiemu.

Trzeba również podkreślić, że opisane sylwetki honorowych doktorów z zagranicy świadczą o żywej współpracy białostockich naukowców z wybitnymi badaczami pracującymi w renomowanych na świecie instytucjach i uniwersytetach.

Opracowanie publikacji uważam za niezwykle pożyteczne oraz za kolejny sukces wydawniczy uniwersytetu. Stanowi ona ciąg dalszy opisu już ponad 60-letnich dziejów Almae Matris Białostocensis.

Jan Stasiewicz

Wspomnienie o Profesorze Ludwiku Komczyńskim

W gmachu Collegium Patologicum uroczyście odsłonięto tablicę pamiątkową prof. Ludwika Komczyńskiego, byłego rektora i inicjatora budowy gmachu. Swojego byłego szefa wspomina prof. Lech Chyczewski

Moje pierwsze spotkanie z Ludwikiem Komczyńskim było incydentalne i miało miejsce w nietypowych okolicznościach. Był rok 1964. Chyba koniec maja. Odwiedził mnie brat ze swoimi kolegami - wszyscy studiowali na Wydziale Ogrodnictwa Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Wybieraliśmy się na rajd studencki wokół jeziora Wigry. Wówczas taki rodzaj turystyki był wśród studentów bardzo rozpowszechniony. Białystok znajdował się niejako „po drodze”. Pokazałem kolegom miasto, Akademię Medyczną, w tym oczywiście siedzibę uczelni, dawny Pałac Branickich. Chłopców rozpieła energia, wbiegliśmy więc z impetem na piękne pałacowe schody, na pierwsze piętro magnackiej rezydencji. Zostało do pokonania kilka schodków, gdy nagle zostaliśmy zatrzymani w biegu. Na schodach stał, nieznan mi jeszcze, Ludwik Komczyński. Swoim tubalnym, groźnym głosem zmroził naszą rozbawioną grupę. Na słowa: - „No co, nie poznajecie swojego rektora. A uklonić się i powiedzieć dzień dobry, to nie łaska?” - zatrzymaliśmy się jak wryci. Patrzyły na nas do brotliwe, pełne wyrozumiałości oczy człowieka, który całą swoją postacią wyrażał bardziej aprobatę, aniżeli gniew. Uśmiechał się pod wąsem z bezgraniczną życzliwością i dobrotną ironią. Jakże nie pasowało to do groźnego głosu.

Po wakacjach zaczęła się nauka. Jednym z przedmiotów była anatomia patologiczna. Wykłady prowadził szef zakładu i rektor uczelni w jednej osobie, prof. Ludwik Komczyński. Odbywały się na terenie zakładu zlokalizowanego na ostatnim piętrze gmachu zwanego obecnym Collegium Primum. Pod salą wykładową, na kondygnacji poniżej, znajdował się Zakład Chemii Ogólnej prowadzony przez docenta Juliusza Popowicza - człowieka o niezwykle barwnej osobowości.



foto: Wojciech Więcko

Tablica ku pamięci prof. Ludwika Komczyńskiego w Collegium Patologicum

Wykłady prof. Komczyńskiego były przejrzyste, usystematyzowane, stanowiły doskonały wstęp do zajęć klinicznych. Wywody dotyczące zmian patologicznych cechowała logika. Żeby nie było nudno, Profesor pozwalał sobie, od czasu do czasu, na niewinny żart. Przykład: mówiąc o zaburzeniach rogowacenia, rzucił w kierunku słuchaczy retoryczne pytanie: „Czy wiecie, w jakiej sytuacji dochodzi do powstania nagniotka (clavus)”? Po krótkiej ciszy, jaka zawiśła nad salą, z ust wykładowcy padła zwięzła odpowiedź: „Ta sytuacja ma miejsce wówczas, kiedy nogi są ze wsi, a buty z miasta”.

Na innym z wykładów Profesor pokazał, że nieobcy mu jest ognisty temperament i porywczosć. Nasz rektor posiadał wyposażenie typowego choleryka. Wykład rozpoczął się spokojnie. Jak zwykle stał za katedrą. Patrząc w konspekt, omawiał zagadnienie niedrożności jelit. W jednym ręku trzymał kij w celu demonstrowania zmian patologicznych na barwnych planszach, wykonanych przez małżonkę. Nagle ten spokój został zburzony przez dźwięk wentylatora, włączonego przez któregoś z asystentów z zakładu chemii ogólnej. Narastał on w miarę rezonansu, jaki da-

wały blaszane rury wentylacyjne, które umocowane były na jednej ze ścian naszej sali wykładowej. Wraz z nasilaniem się szumu, twarz Profesora robiła się coraz bardziej czerwona. Nagle, ku zaskoczeniu siedzących na sali studentów, rąbnął kijem o blat stołu. Kij rozleciał się na kawałki. Profesor wyrzucił z siebie słowa, których nie chciałbym tu przytaczać i pędem wybiegł z sali. Za chwilę szum wentylatora ucichł. Profesor powrócił i, jakby nic się nie stało, ze spokojem kontynuował przerwany w połowie zdania wątek dotyczący przyczyn niedrożności jelit.

O egzaminie końcowym z anatomii patologicznej wśród studentów krążyły legendy i anegdoty. W gabinecie rektora stało duże akwarium, w którym pływały rybki. Był to ponoć obiekt szczególnej troski i oczko w głowie Profesora. Stan owych rybek według krążących legend miał mieć bezpośredni wpływ na wynik egzaminu. Nie daj Boże, by któraś z nich niedomagala. Ponoć negatywna ocena była już przesądzona. Ja nie miałem okazji zbadać prawdziwości tych opowieści, bowiem w wyniku losowania zdawałem egzamin praktyczny i teoretyczny u docenta Henryka Franciszka Nowaka - wówczas prawej ręki Profesora. Z cza-

sem przypadło mu w udziale kierowanie Zakładem Anatomii Patologicznej. Z tej funkcji wywiązał się wzorcowo.

Z czasów studenckich przypomina mi się jeszcze jeden kontakt z rektorem Komczyńskim. Ten wątek wymaga jednak pewnego wprowadzenia.

W naszej uczelni działał chór, który dzisiaj obrósł już w tradycję i sukcesy. Wówczas, na początku lat sześćdziesiątych, wszystkie chóry studenckie wykonywały dawną muzykę polską, w przeważającej części nawiązującą do religii. Ten rodzaj pieśni był podstawą naszego repertuaru. Dyrygent chóru, pan Józef Siebert, waltornista w Białostockiej Filharmonii, był jednocześnie organistą w kościele farnym. Repertuar przygotowaliśmy „na blachę”, bowiem chór miał wyjechać na gościnne występy aż do... Grodna. Teraz wydaje się to śmieszne, ale dawniej była to nieosiągalna zagranica. Wśród chórzystów panował radosny nastrój. Aż tu, na kilka dni przed wyjazdem, doszła do nas wiadomość, że wyjazd nie może dojść do skutku. Nie podano żadnej przyczyny tej decyzji. Ja, wraz z Antkiem Sydorem - ówczesnym prezesem chóru, moim serdecznym kolegą i współmieszkańcem - poszliśmy do rektora Ludwika Komczyńskiego, prosząc o wyjaśnienia. Rozmowa utrzymana była w życzliwym tonie, chociaż przez długi czas nie mogliśmy uzyskać konkretnych informacji. W końcu rektor, już zniecierpliwiony naszą natarczywością, wstał zza biurka, stanął przy oknie i wypowiedział pamiętne słowa „Jak wam, chłopcy, się wydaje? Nie wiecie, w jakiej żyjemy rzeczywistości? Czy uważacie, że ja, jako rektor, nie chciałbym, żeby chór wyjechał i słał nam naszą uczelnię? Czy nie chciałbym, żebyście zobaczyli dawne polskie Grodno, i żeby tam zabrzmiała dawna polska, sakralna muzyka? Jeżeli chcecie dowiedzieć się, kto wam zabronił tego wyjazdu, to zapytajcie się tam”... i pokazał palcem w kierunku gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Oczywiście, poszliśmy „tam”. Przyjął nas zastępca sekretarza i z wyszukaną grzecznością, po rozmowie przy herbacie, odprawił z kwitkiem. Był ciąg dalszy. Uzyskaliśmy zgodę rektora Komczyńskiego na galowy koncert, zaplanowany na najbliższą niedzielę w Pa-



fot.: Wojciech Więcko

Odślonienie tablicy. Od prawej: prof. Jacek Nikliński, rektor UMB, dr Małgorzata Komczyńska, córka prof. Komczyńskiego i (tyłem) prof. Anna Nasierowska-Guttmejer, prezes PTP

łacu Branickich, w głównym gmachu Akademii Medycznej, w Auli Magna. Koncert okazał się swoistą demonstracją. Przy blasku palących się świec przyniesionych z kościoła farnego, widowni wypełnionej po brzegi, którą w połowie stanowili księża i klerycy, uniosła się pieśń *Gaude Mater Polonia*, a potem pieśni Wałcawa z Szamotuł, Gomułki i inne. Sukces odnieśliśmy nadzwyczajny. Rektor z pewnością miał ból głowy i był wzywany na dywanik do Komitetu.

Moje ostatnie spotkanie z rektorem Ludwikiem Komczyńskim miało miejsce na przełomie marca i kwietnia 1970 roku. Jako lekarz stażysta uczestniczyłem w beznadziejnie nudnych, klinicznych zajęciach stażowych (praca polegała głównie na porządkowaniu historii chorób). Zacząłem więc poszukiwać zajęcia bardziej konkretnego. Trafiłem do Zakładu Anatomii Patologicznej. Przyjął mnie docent Nowak i polecił, chyba w celu zniechęcenia, porządkowanie w muzeum makropreparatów. Praca polegała na uzupełnianiu roztworu formality w szklanych pojemnikach, zawierających patologicznie zmienione narządy, i odkurzaniu przeszklonych muzealnych regałów. Ten egzamin wytrzymałościowy zdałem i od 1 kwietnia 1970 roku zostałem asystentem zakładu. Ponieważ oficjalnym kierownikiem zakładu był prof. Ludwik Komczyński, przyzwyczajenie wymagała, żeby zameldować się i przedstawić szefowi, co też chciałem zrobić.

Pracownicy zakładu uprzedzili mnie, że rektor nie przychodzi już do

zakładu. Jest przewlekle chory i wejście na trzecią kondygnację po stromych schodach Collegium Primum jest ponad jego siły. Trafiłem więc do rektora, gdzie wizyta trwała krótko. Stałem na baczność przed obliczem swojego szefa i zadeklarowałem lojalność, staranność i pracowitość. Rektor popatrzył na mnie spod okularów i z ironicznym uśmiechem powiedział: „Zobaczymy, czas pokaże. Tymczasem życzę koledze wszystkiego najlepszego”. Upłynęło kilka miesięcy. W październiku, pamiętnego 1970 roku, społeczność akademicka odprowadziła swojego Rektora na miejsce wiecznego spoczynku.

Czas pokazał. Minęło bowiem niemal 40 lat i powierzono mi kierowanie Zakładem Patomorfologii, dawną Anatomią Patologiczną. Przyszło mi kontynuować dzieło prof. Ludwika Komczyńskiego i prof. Henryka Fr. Nowaka.

Rektor Komczyński patrzy na mnie codziennie z portretu autorstwa swojej żony. Portret, oddający świetnie Jego osobowość, wisi w zakładzie, w moim gabinecie. Spogląda z niego wspaniały człowiek, który zorganizował od podstaw Zakład Anatomii Patologicznej. Był uwielbiany przez pracowników, którzy wspominają go do tej pory z rozrzewaniem. Wielki przyjaciel młodości, rozumiejący jak mało kto czasy, w których przyszło mu żyć i funkcjonować. Człowiek o niezwykłej wrażliwości, z wielkim dystansem do samego siebie. Potrafił reagować gwałtownie, ale nigdy nie odmawiał zwykłej, ludzkiej pomocy.

Prof. Lech Chyczewski,
kierownik Zakładu Patomorfologii Lekarskiej

Program in vitro tuż przed startem

23 kliniki, w tym trzy z naszego regionu, będą brały udział w ministerialnym programie leczenia niepłodności metodą in vitro.

Jesienią zeszłego roku Ministerstwo Zdrowia ogłosiło, że uruchamia specjalny program, w którym będzie refundować zabiegi in vitro dla 15 tysięcy par. To pierwsza tego typu inicjatywa w historii polskiej medycyny. Do tej pory - przez ponad 25 lat od pierwszego udanego zabiegu zapłodnienia pozaustrojowego w kraju - nie udało się politykom ustanowić jakichkolwiek regulacji prawnych w tej sprawie. Program ma wystartować 1 lipca i trwać przez trzy lata.

Obejmie on pary, które od co najmniej roku leczą się z powodu niepłodności i wobec nich wyczerpane zostały już inne sposoby leczenia. Co ważne, osoby starające się o potomka nie muszą być małżeństwem, a kobieta w chwili zgłoszenia nie może mieć

więcej niż 40 lat (mężczyzny granica wieku nie obejmuje). Państwo będzie finansować do trzech prób zabiegu dla jednej pary. Szacuje się, że koszt in vitro wraz z niezbędnymi badaniami poprzedzającymi wynosi ok. 8-10 tys. zł (zależy to od liczby badań wstępnych, a tych najwięcej jest przy pierwszej próbie in vitro, przy kolejnych wielu nie trzeba już wykonywać).

W końcu maja ministerstwo ogłosiło wyniki naboru podmiotów, które chciały realizować zabiegi w ramach programu. Do resortu zgłosiło się w sumie 37 klinik. Jednak tylko dwóm udało się zaliczyć procedury rejestracyjne przy pierwszym podejściu. Przy kolejnym liczba ta wzrosła do 23. Weryfikację pozytywnie przeszły m.in. Kriobank, należący do prof. Waldemara Kuczyńskiego, Centrum Położniczo-Ginekologiczne „Bocian” oraz Uniwersytecki Szpital Kliniczny.

Teoretycznie już 1 lipca pierwsi pacjenci będą mogli zapisać się na

refundowany zabieg. Jednak lekarze nie bardzo jeszcze wiedzą, jak wykonywać niektóre z procedur. Dlatego Związek Polskich Ośrodków Leczenia Niepłodności i Wspomagane Rozrodo wysłał list z pytaniami do twórców programu. Wątpliwości wzbudzają niejasności przy kwalifikacji pacjentek (co zrobić w sytuacji, gdy zgłaszająca się kobieta nie ma jeszcze 40 lat, ale kończy je, kiedy ma rozpocząć się stymulacja, albo kiedy para leczyła się z powodu niepłodności kilka lat temu, a teraz ubiega się o refundowany zabieg). Wymagane są też od medyków procedury, które się wzajemnie wykluczają. Zastrzeżenia budzą też kwestie finansowe (np. kto ma płacić za przechowywanie zarodków).

Ministerstwo Zdrowia uspokaja, że wszystkie wątpliwości zostaną rozwiązane przed uruchomieniem programu.

bdc

Nowe studenckie patio w Collegium Pathologicum

Konstrukcja ze stali i szkła, wokół ławki i dużo zieleni - tak w skrócie można opisać nowe patio, które stanęło pomiędzy łącznikami w Collegium Pathologicum.

Patio stanęło na niewykorzystywanej do tej pory przestrzeni pomiędzy dwoma łącznikami w Collegium Pathologicum. Teraz skorzystać z niego będzie mógł każdy student. Skwerek został tak zaprojektowany, by nawet przy nienajlepszej pogodzie można było z niego korzystać. Przy okazji tej inwestycji wokół Collegium pojawi się więcej zieleni i ławki. Wyremontowane zostaną także urządzenia wentylacyjne budynku.

foto: Wojciech Wnęcko



bdc

Ostatnie prace porządkowe przy nowym studenckim patio

Rektorzy białostockich uczelni przeciw rasizmowi

Rektorzy wszystkich białostockich uczelni wyższych potępił rasistowskie ataki na cudzoziemców przebywających w Białymstoku. To ich wspólne stanowisko podjęte na Kolegium Środowiskowym Rektorów Uczelni Wyższych w Białymstoku

„W wyrażamy potępienie wobec aktów fizycznej i werbalnej przemocy, których ofiarą padli obcokrajowcy, mieszkający w Białymstoku i jego okolicach - zwłaszcza ci, którzy zdecydowali się na podjęcie studiów w naszym mieście” - czytamy w przesłanym do redakcji „Medyka” oświadczeniu.

Rektorzy potępiają akty przemocy wobec obcokrajowców, zwłaszcza studentów, którzy podjęli naukę w naszym mieście.

„Reprezentując władze uczelni Białegostoku, pragniemy zapewnić

o gotowości podjęcia wszelkich działań, które przyczynią się do zapewnienia studentom bezpieczeństwa i zapobiegania podobnym wypadkom w przyszłości” - czytamy dalej w oświadczeniu. Jednocześnie pada deklaracja przedstawicieli uczelni wyższych o podjęcie szerszej współpracy z policją, a także większym wspieraniu inicjatyw studenckich, które zmierzają do integracji obcokrajowców i szerszego ich włączania w akademickie życie miasta.

„Wymóg szacunku dla odmienności kultur, religii czy przekonań znajdzie odzwierciedlenie w uczel-

nianych kodeksach dobrych praktyk lub treści przysięgi, składanej przez studentów, rozpoczynających studia i włączających się do wspólnoty akademickiej naszych uczelni” - kończą rektorzy.

Podpis pod oświadczeniem złożyli rektorzy 13 białostockich uczelni wyższych.

Przewodniczącym Kolegium Środowiskowego Rektorów Uczelni Wyższych w Białymstoku jest prof. Jacek Nikliński, rektor Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku.

bdc

W skrócie

Monografia UMB laureatem konkursu



Wydawnictwo pt. „Historia powstania Akademii Medycznej w Białymstoku. Studenci pierwszego rocznika” pod red. Lecha Chyczewskiego, Magdaleny Grassmann i Piotra Radziejewskiego zdobyło główną nagrodę w Konkursie na Najciekawsze Wydarzenie Muzealne Roku 2012 w województwie podlaskim, w kategorii Publikacja.

Konkurs jest rocznie organizowany przez Podlaski Oddział Stowarzy-

szczenia Muzealników Polskich. Nagrody i wyróżnienia przyznawane są w trzech kategoriach: Publikacja, Wystawa oraz Wydarzenie poza wystawiennicze.

Publikacja **jest to druga** z czterech tomów jubileuszowej serii, która jest przygotowywana z okazji 60-lecia uczelni. Pierwszy tom zatytułowany **Od Akademii Medycznej do Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. Historia Uczelni 2000 – 2010** ukazał się w 2010 roku

Nominacje profesorskie dla naukowców UMB

Trzech naukowców z Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku odebrało (17.06) nominacje profesorskie od prezydenta RP Bronisława Komorowskiego.

Awans naukowy otrzymały: Iwonę Flisiak, kierownik Kliniki Dermatologii i Wenerologii, Ewa Olszewska, z Kliniki Otolaryngologii, oraz Agata Szulc, kierownik Kliniki Psychiatrii.

Podczas uroczystości prezydent wskazywał, że obecnie ścieżki życia, karier w różnych dziedzinach zaczynają się przenikać i krzyżować. Odrębne światy – nauki, szkolnictwa wyższego, sztuki, kultury, polityki biznesu były kiedyś bardziej od siebie oddzielone.

Prezydent ocenił, że przenikanie się tych ścieżek karier życiowych stanowi ogromną szansę na poznawanie nowych obszarów, na poznawanie własnego kapitału w innych nietypowych obszarów.

Sukcesy naszych studentów

Studenci UMB zajęli czołowe miejsca w dwóch ogólnopolskich konkursach wiedzy anatomicznej.

Pierwszy odbył się w Białymstoku, to Ogólnopolski Konkurs Wiedzy Anatomicznej „Złota Łopatka” - „Golden Scapula”. W szranki stanąć mogą tylko studenci pierwszego roku kierunku lekarskiego. Udział w konkursie wzięło 80 studentów z większości uczelni medycznych w Polsce. Rywalizowali w języku polskim i angielskim. Indywidualnie najlepszy okazał się Góralczyk Adrian (UMB), zaś wśród studentów anglojęzycznych wygrał Reshad Sherzad (UMB).

W tym samym czasie w Olsztynie rozstrzygnięto konkurs „Scalpellum Aureum”. Tu nasze studentki (Anna Szłaga i Kamila Radziszewska- II rok Wydział Lekarski) zdobyły 2 miejsce.

bdc

Studenckie mistrzostwa ratowników medycznych

Najlepsi studenci-ratownicy są w Katowicach. Najlepsze zawody robi się w Białymstoku



Najlepsi studenci-ratownicy są w Katowicach. Najlepsze zawody robi się w Białymstoku.

W połowie maja na Wydziale Nauk o Zdrowiu zorganizowano czwartą edycję Ogólnopolskich Zawodów Uczelni Medycznych w Ratownictwie Medycznym. Stało się to dzięki temu, że w zeszłym roku to właśnie ekipa z Białegostoku okazała się najlepsza. I choć ekipa gospodarzy startowała w mistrzostwach, to jednak jej wyniki nie były brane do ogólnej klasyfikacji.

W sumie w zawodach rywalizowało ze sobą 20 trzyosobowych drużyn. Każda z nich musiała zmierzyć się z pięcioma zadaniami. Pierwszym był nocny wypadek na lotnisku w Krywlanach. Założenie było takie: w trakcie tzw. czarnej mszy, w jej uczestników wjeżdżają dwa samochody. Dodatkowo zespoły ratowników zostają zaatakowane przez nieznaną sprawców, w ich obronie stają policyjni komandosi, którzy eskortowali zawodników. W zadaniu tym wszystkie drużyny działały jednocześnie. Jedni odpowiadali za rozpoznanie obrażeń u ofiar, inni za udzielanie

pomocy. Liczyła się szybkość działania, trafność diagnozy i umiejętność współdziałania.

Kolejne zadania odbyły się już w gmachu wydziału. I tak najpierw trzeba było pomóc pacjentowi, który skarżył się na duszności, następnie przyjąć poród, a także właściwie zając się rodzącą i noworodkiem, potem należało poradzić sobie z nastolatką, która miała objawy zaburzeń psychicznych, a na koniec trzeba było zmierzyć się z sytuacją, w której mężczyzna próbuje popełnić samobójstwo.

Jednak w każdym z tych zadań - jak opowiadali uczestnicy zawodów - organizatorzy ukryli pewne „haczyki”. Dlatego, choć wiedza medyczna była istotna, to równie ważne było logiczne myślenie, a także umiejętność rozmowy z pacjentem w stresujących sytuacjach.

W nocnym zadaniu było sporo wystrzałów, a komandosi wcale nie traktowali zawodników ulgowo. W drugim zadaniu, kiedy wydawało się, że wszystko jest już opanowane, pacjent nagle tracił przytomność (zawał) i konieczna była akcja reanimacyjna. Przy porodzie asystować chcieli pijany tata z kolegą, którzy dość skutecznie prze-

szkadzali, w czym tylko mogli. Agresywna nastolatka trzymała za to nóż w ręce i groziła nim wszystkim wokół. Konieczne więc było wsparcie policji. Samobójcą (manekin) był terrorysta, który otoczony przez policję targnął się na własne życie. Najpierw trzeba było odciąć linę, na której wisiał, a dopiero potem prowadzić dalsze czynności ratunkowe.

- Chcieliśmy, żeby wszystkie te sytuacje przypominały jak najbardziej te, które mogą się wydarzyć realnie - powiedział „Medykowi” lek. Krzysztof Bauer, sędzia zawodów i jeden z organizatorów.

Najlepiej w dwudniowych zawodach zaprezentowali się studenci ze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach, zdobywając puchary Rektora UMB oraz Wojewody Podlaskiego. Na II miejscu uplasowali się zawodnicy Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, na III miejscu - Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej. Tak więc - zgodnie z regulaminem - mistrzostwa w roku przyszłym zorganizowane zostaną w Katowicach.

bdc

Dzień Dziecka w bajkowym szpitalu

Pobyty w szpitalu dla dziecka i jego bliskich to ciężkie przeżycie. Zmiana warunków otoczenia, obcy ludzie, ból i strach związany z chorobą, stają się dla małych pacjentów codziennością. Z myślą o nich postanowiliśmy, choć na kilka godzin, zmienić szpitalne korytarze w bajkowe miejsce.

Za organizację imprezy wzięli się studenci Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku, działający w Studenckich Kołach Naukowych: przy Klinice Onkologii i Hematologii Dziecięcej UDSK, przy Zakładzie Medycyny Ratunkowej i Katastrof UMB oraz Międzynarodowe Stowarzyszenie Studentów Medycyny IFMSA-Poland Oddział Białystok.

Akcja odbyła się 28 maja w Uniwersyteckim Dziecięcym Szpitalu Klinicznym im. L. Zamenhofs w Białymstoku. Od godziny 13 po szpitalnych korytarzach przechadzali się klauni oraz kuglarze, a dzięki grupie Ulvborg Hird, dzieci miały możliwość poznania sekretów życia wikingów. Szpitalna świetlica zmieniła się w salę balową, w której dzieci miały urządzoną dyskotekę, a także brały udział w licznych grach i konkursach (całością dowodził prezenter Stefan Sochoń). Natomiast w świat



foto: Wojciech Więcko

Zawodnicy drużyny futbolu amerykańskiego Lowlanders Białystok byli jedną z największych atrakcji imprezy

magii maluchy przeniósł iluzjonista Karol Sanetti. Całą zabawę uświetniły występy aktorów z Białostockiego Teatru Lalek oraz członków Domu Latających Tancerzy. Nie lada gratką była też możliwość spotkania postaci z bajek, pobawienia się z zawodnikami drużyny futbolu amerykańskiego Lowlanders Białystok, czy poznania kulis pracy w policji, straży pożarnej oraz w wojsku.

Organizatorzy akcji chcą złożyć szczególne podziękowania wojewo-

dzie podlaskiemu Maciejowi Żywno za objęcie patronatem akcji, dyrektorowi szpitala Januszowi Pomaskiemu i prorektorowi Adrianowi Chabowskiemu za wsparcie projektu. Osobne „dziękuję” kierowane jest do tych wszystkich, którzy wsparli przedsięwzięcie.

**K. Cieślak, J. Rzodkiewicz,
W. Skibniewska,
M. Rogozińska**
(organizatorzy)

Urodziny Izabeli Branickiej

Uniwersytet Medyczny w Białymstoku, jako właściciel Pałacu Branickich, propaguje historię swojej siedziby oraz lecznictwa, włączając się w ogólnoeuropejskie wydarzenia, takie jak: Noc Muzeów czy Europejskie Dni Dziedzictwa. Od czterech lat, w czerwcu, organizuje również spotkanie „Poezja i muzyka w rocznicę urodzin Izabeli Branickiej”, poświęcone hetmanowej wielkiej koronnej.

Izabela bowiem, niemal 60 lat swojego dorosłego życia związała

z Wersalem Podlaskim i prowadziła wszechstronną działalność na rzecz mieszkańców Białegostoku. Wiele uwagi poświęciła rozwojowi lecznictwa w dobrach białostockich. Dbała duchowo i finansowo o szpital prowadzony przez Siostry Miłosierdzia. Sprowadziła wielu lekarzy dworskich, którzy czuwali nad zdrowiem nie tylko hetmanowej i jej najbliższego otoczenia, ale również wszystkich mieszkańców dóbr białostockich.

W tym roku obchody urodzin Izabeli Branickiej odbyły się 16 czerw-

ca w Auli Magna Pałacu Branickich. Uświetnił je spektakl słowno-muzyczny.

W programie, poetka Krystyna Konecka zaprezentowała wiersze ze swojego tomu pt. „Isabelle, mon amour” oraz przytoczyła kilka anegdot z epoki. Muzykę, również epokową, wykonał Kwartet Dworski w składzie: Piotr Przydworski i Piotr Krakowiak - skrzypce, Anna Mikołajczak - altówka, Ewa Misiewicz - wiolonczela.

Hanna Sarosiek

Jubileuszowy zjazd patologów

Aż 320 osób z całej Polski i zza granicy uczestniczyło w XIX Zjeździe Polskiego Towarzystwa Patologów. Goście docenili bardzo wysoki poziom wykładów oraz wspaniałą atmosferę zjazdu.

Patomorfolodzy spotykają się, co trzy lata. Jednak ta konferencja była wyjątkowa, bo jubileuszowa. W 2013 roku mija, bowiem 55 lat od założenia Polskiego Towarzystwa Anatomopatologów, a także 60 lat od powstania Zakładu Anatomii Patologicznej w Akademii Medycznej w Białymstoku. Wykłady (odbywały się na Wydziale Nauk o Zdrowiu przy ul. Szpitalnej) trwały cztery dni. Uroczyste otwarcie zjazdu (6 czerwca) odbyło się jednak w najbardziej reprezentacyjnym miejscu uczelni – w Aula Magna w Pałacu Branickich.

- Mam nadzieję, że nasz zjazd, którego głównym mottem są postępy w patomorfologii będzie zmierzał do integracji naszego środowiska – stwierdziła podczas otwarcia zjazdu

prof. Anna Nasierowska-Guttmejer, przewodnicząca PTP. – Jak również zacieśni naszą współpracę z zagranicą, z Europejskim Towarzystwem Patomorfologów.

Podczas uroczystości rektor uczelni prof. Jacek Nikliński wręczył medal za zasługi dla Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku prof. Franciszkowi Nowakowi. Prof. Nowak przez wiele lat kierował zakładem patomorfologii, wychował wielu naukowców. Z kolei przewodnicząca PTP prof. Anna Nasierowska-Guttmejer wręczyła dyplomy Honorowych Członków PTP prof. Bogusławowi Musiatowiczowi z Białegostoku, dr. Krzysztofowi Bardadinowi z Warszawy oraz dr. Bolesławowi Paple z Krakowa.

Uroczystość zakończyły wykłady inauguracyjne. Prof. Lech Chyczewski, kierownik zakładu patomorfologii UMB, przypomniał sylwetkę byłego rektora, a jednocześnie twórcy zakładu Anatomii Patologicznej – prof. Ludwika Komczyńskiego. Było to wprowadzenie uczestników zjazdu, do tego,

co miało się wydarzyć kolejnego dnia – a mianowicie do odsłonięcia w holu Collegium Pathologicum tablicy poświęconej prof. Komczyńskiemu.

Białystok był organizatorem zjazdu po raz trzeci. Pierwszy odbył się w 1964, kolejny w 1986 roku. Tegoroczny program zjazdu obejmował wykłady plenarne, przeglądowe wykłady szkoleniowe oraz doniesienia oryginalne. Prowadzili je znani specjaliści z Polski, ale również z zagranicy. W sumie w zjeździe uczestniczyło 320 lekarzy (z około 500 pracujących w zawodzie).

Oprócz wielu wykładów patomorfolodzy z całej Polski mogli również m.in. wysłuchać koncertu chóru UMB, koncertu niezwykle utalentowanego tria akordeonowego z Zespołu Szkół Muzycznych w Białymstoku, a także zwiedzić monaster w Supraślu.

Kolejny zjazd za trzy lata odbędzie się w Warszawie.

km

Konferencja „Życiodajna Śmierć” już za nami

W tym roku – był to już VIII edycja konferencji - uczestniczyło w niej prawie 260 osób, a organizatorem tego wydarzenia tradycyjnie już był Zakład Zintegrowanej Opieki Medycznej Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku.

Główna tematyka jaka była poruszana na obradach dotyczyła pacjenta i jego rodziny oraz rozlicznych dylematów etycznych, prawnych i społecznych z jakimi na co dzień spotykają się pracownicy ochrony zdrowia.

Konferencja ma charakter interdyscyplinarny. Spotykają się na niej

medycy, psychologowie, pedagodzy, a także prawnicy, etycy i filozofowie. Wspólnie starają się scharakteryzować trudności procesu terapeutycznego, ale nie tylko w kontekście medycyny naprawczej. Podczas spotkania omawiane były zagadnienia związane z opieką paliatywną, ale też żałobą i osieroceniem. Innymi ważnymi poruszonymi tematami były zagadnienia etyczne począwszy od kwestii eutanazji, a skończywszy na transkulturowości w relacjach lekarz-pacjent. W ogóle bardzo duży nacisk podczas kilkudniowych obrad położono na sprawy pacjenta i jego rodziny, a także

rozlicznych dylematów etycznych, prawnych i społecznych jakie na co dzień pojawiają się na ich w ich kontaktach z pracownikami ochrony zdrowia.

Uczestnicy konferencji mieli też okazję uczestniczyć w warsztatach, z których największą popularnością cieszył się ten dotyczący tego jak się komunikować z pacjentem w stanie terminalnym oraz jak rozmawiać w takiej sytuacji z jego rodziną.

Oczywiście nie zabrakło też innych atrakcji tych bardziej dla ciała.

Andrzej Guzowski

Zaawansowana chirurgia w Białymstoku

Jak uniknąć zdarzeń niepożądanych w Chirurgii Endokrynologicznej? Powyższe pytanie było tematem przewodnim VII Międzynarodowej Konferencji, która w dniach 9-11 maja odbyła się w Białymstoku

P Jej organizatorami byli prof. dr hab. Jacek Dadan oraz zespół I Kliniki Chirurgii Ogólnej i Endokrynologicznej Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. Mimo, że Polski Klub Chirurgów Endokrynologicznych zrzesza niepełna 100 osób, to jednak formuła Konferencji, obecność najwybitniejszych ekspertów oraz multimedialny charakter prezentacji, wzbogaconych nagraniami z operacji wideochirurgicznych, sprawiły, że w konferencji wzięło udział niemal 200 osób.

Przełomowe, podczas tegorocznej Konferencji, było ujęcie tematyki wykładów - każdy z chirurgów opowiadał o swoich własnych zdarzeniach niepożądanych. Chirurgia, także ta najbardziej nowoczesna, nawet w wykonaniu najwybitniejszych specjalistów, wiąże się nierozłącznie z możliwością wystąpienia powikłań. Dzięki postępowi, jaki dokonuje się w chirurgii, zdarzają się one coraz rzadziej i w najlepszych ośrodkach dotyczy jedynie kilku procent operowanych. Mówienie o własnych zdarzeniach niepożądanych w oparciu o materiały filmowe jest najlepszą metodą szkolenia. Sprawia, że chirurg staje się wiarogodny, a co ciekawe, jego autorytet wzrasta.

- Po wykładzie, w czasie którego przedstawiłem własne powikłania w chirurgii tarczycy, wielu endokrynologów zwróciło się do mnie z prośbą o leczenie swoich bliskich - opowiadał jeden z lekarzy.

Uroczyste otwarcie w Auli Wielkiej UM było okazją do uczczenia Jubileuszu 80-lecia prof. dr hab. Zbigniewa Puchalskiego - wybitnego chirurga i wieloletniego kierownika I Kliniki Chirurgii Ogólnej i Endokrynologicznej. Hołd dwukrotnie rektorowi Akademii Medycznej w Białymstoku złożyły władze Towar-



foto: materiały organizatorów

Pamiątkowe zdjęcie uczestników konferencji

zystwa Chirurgów Polskich, reprezentowane przez prezesa prof. dr hab. Marka Krawczyka i licznie przybyli najwybitniejsi chirurdzy, przyjaciele, współpracownicy oraz białostocka społeczność. Wspaniałą oprawę uroczystości zapewnił chór Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku, kierowany przez prof. Bożenę Sawicką oraz dr Annę Moniuszko.

Program naukowy był podzielony na sesje dotyczące chirurgii tarczycy, przytarczyc, nadnerczy. Oddzielnym tematem było spotkanie Grupy Badawczej ds. Neuromonitoringu. Tę nowoczesną technikę pozwalającą pewnie zidentyfikować nerwy kraniowe wsteczne, od lat z powodzeniem stosują chirurdzy I Kliniki Chirurgii Ogólnej i Endokrynologicznej. Zarówno użycie neuromonitoringu, jak i zaawansowane operacje z zakresu chirurgii endokrynologicznej i metabolicznej, były prezentowane w czasie dwudniowych warsztatów zorganizowanych przez zespół Prof. Dadana bezpośrednio przed Konferencją.

Do Białegostoku przyjechali najwybitniejsi eksperci chirurgii endokrynologicznej z całej Polski oraz z zagranicy. Doskonale wykłady przed-

stawili: prof. Henning Dralle (Halle, Niemcy) - niekwestionowany ekspert w chirurgii tarczycy, przyjaciel białostocki chirurgów - prof. Alman-tas Maleckas, pracujący w Ośrodkach Chirurgii Otyłości w Geteborgu i w Kownie, prof. Radu Mihai z Oksfordu (Anglia), specjalizujący się w małoinwazyjnych operacjach przytarczyc oraz prof. Piero Alesina (Essen, Niemcy), dysponujący ogromnym doświadczeniem w wideochirurgii nadnerczy.

VII Międzynarodowa Konferencja Chirurgiczna była wydarzeniem ważnym dla Kliniki, Uczelni oraz Miasta. O jej atrakcyjności świadczą podziękowania oraz gratulacje, które wpłynęły do Komitetu Organizacyjnego po jej zakończeniu, ale także powszechnie zgłaszana chęć udziału w przyszłych warsztatach i Konferencjach organizowanych corocznie przez I Klinikę Chirurgii Ogólnej i Endokrynologicznej. Już dziś zapraszamy wszystkich na Spotkanie o temacie przewodnim „Jak uniknąć zdarzeń niepożądanych w wideochirurgii”, zaplanowane na maj 2014r.

Piotr Myśliwiec,
Sekretarz Naukowy Konferencji

Mówią na mnie „Łazik”

Jego dyplom ukończenia Akademii Medycznej w Białymstoku widzieli Amerykanie, Izraelczycy, Niemcy, Austriacy. Jeździ po świecie, uczy innych. Zawsze jednak wraca do rodzinnego Białegostoku

Roberta Sosnowskiego (dla przyjaciół „Łazik”) znają w Białymstoku chyba wszyscy. Jeśli nie osobiście, to przynajmniej z widzenia, albo z relacji medialnych. Od zawsze wszędzie go pełno. Nie może usiedzieć w jednym miejscu. Kursy i szkolenia, które ukończył, nie sposób wliczyć. Wszystkie ekstremalne: kurs płetwonurków, wspinaczki skałkowej, agentów ochrony, konwojentów z bronią, kurs wysokościowy. Ponadto m.in. szkolenia z technik jazdy w sytuacjach ekstremalnych, z zakresu ratownictwa lądowego. Przez lata działał w harcerstwie. Uprawiał aikido i judo, jeździ konno, wspina się. Jednak, jak przyznaje, jego największa pasja, której wszystko jest podporządkowane, to ratownictwo medyczne.

Pierwszy raz zetknął się z nim, kiedy miał 20 lat. Po ukończeniu technikum mechanicznego wybrał się w podróż stopem po Europie. Tak trafił do Austrii. Razem z członkami miejscowego Krzyża Maltańskiego, austriacką zawodową służbą medyczną, pojechał z konwojem humanitarnym do Sarajewa. Tam po raz pierwszy zobaczył wojnę i zabijanych na ulicach ludzi.

- Dowiedziałem się, czym jest ratownictwo medyczne i wtedy też zrozumiałem, że to jest to, co chciałem w życiu robić - wspomina.

Z konwojami jeździł przez rok. Kiedy wrócił do Polski, łapał się różnych dorywczych prac i jednocześnie szukał szkoły, w której mógłby się uczyć ratownictwa. W 1996 dostał się do dwuletniego studium medycznego przy ul. Ogrodowej. Po jego ukończeniu rozpoczął pracę w białostockim pogotowiu.

Niespokojny duch

W 1999 znów go poniosło na Bałkany. Wziął półroczny bezpłatny urlop



foto: archiwum prywatne

Robert Sosnowski, znany także jako „Łazik”. Absolwent pierwszej edycji studiów z ratownictwa medycznego w naszej uczelni

w pogotowiu i pojechał do Kosowa. Tam z ramienia Krzyża Maltańskiego i Caritasu pracował jako ratownik medyczny oraz kierownik obozu dla uchodźców. Poznał tam wielu ratowników, lekarzy z całego świata. W kolejne wakacje planował wybrać się z wizytą do znajomych ratowników medycznych do Włoch, pozwiedzać Rzym.

- Okazało się, że kumplom, którzy mieli mi pokazać Italię, cofnięto urlopy - mówi. - Co miałem robić? Przecież nie było sensu, żebym sam jeździł. Poprosiłem, aby pozwolono mi z nimi popracować. Sprawdzono moje dokumenty, doświadczenie. Moi znajomi poręczyli moją wiedzę i przez miesiąc mogłem pracować w grupie ratownictwa specjalnego przy Watykanie. Byliśmy zabezpieczeniem ratowniczym dla papieża Jana Pawła II. Pracowałem tam, w Watykanie, na placu św. Piotra, jak też latałem w specjalnym śmigłowcu ratowniczym.

W 2001 roku z jego inicjatywy w Białymstoku zaczęła powstawać

grupa ratownictwa wysokościowego w Państwowej Straży Pożarnej. Zaanalizował się na 100 procent. Współpracował, szkolił.

Rok później na Akademii Medycznej powstaje nowy kierunek: ratownictwo medyczne. Na studia przyjmowane są tylko osoby, które mają ukończone medyczne studium zawodowe. „Łazik” nie waha się ani chwili - składa swoje papiery. Jednocześnie rezygnuje z pracy w pogotowiu lotniczym, bo obawia się, że nie da rady połączyć pracy w dwóch miejscach (oprócz lotniczego pracował w normalnym pogotowiu i studiowania). Po trzech latach ma już licencjat z ratownictwa, studia kończy z wyróżnieniem.

Jest przekonany, że gdyby nie miał dyplomu uczelni wyższej, trudno byłoby mu pracować czy szkolić się na Zachodzie.

- Ranga szkoły miała tutaj niebagatelne znaczenie - przyznaje. - Tam gdzie współpracowałem, zawsze przedstawiałem swoje CV i dyplom AMB. Na pewno inaczej patrzono na

mój dyplom ze znanej uczelni medycznej, niż np. z jakiejś małej prywatnej szkoły.

Misja Afganistan

Mając wiedzę uniwersytecką i licencjat łatwiej było mu się dostać na różne szkolenia. Był zapraszany na kursy do Izraela, Niemiec i Austrii. Jako rezerwista i ratownik medyczny musiał wszystkie odbyte szkolenia zgłaszać do Wojskowej Komendy Uzupełnień. Tak wojsko dowiedziało się o jego kwalifikacjach i zaproponowało mu wyjazd do Afganistanu. Wyjechał w 2008 roku.

- O Afganistanie wolałbym nie opowiadać - mówi. - Mogę tylko powiedzieć, że razem z Amerykanami szkoliłem „rangersów” (elitarna formacja piechoty armii amerykańskiej - red.), a także polskich żołnierzy. Uczyłem ich „czerwonej taktyki”, czyli działań ratowniczych na polu walki. Chodzi o to, by żołnierze ratownicy umieli udzielić pierwszej pomocy na polu walki podczas ostrzału lub podczas transportu śmigłowcem.

W Afganistanie był jako pracownik cywilny. Nie miał broni osobistej ani tzw. długiej. Szkolił, jeździł w pa-



foto: archiwum prywatne

W drodze do Afganistanu

latach (fachowo nazywa się to traumą pola walki). I tak też było w Afganistanie. Choć miał być tam sześć miesięcy, musiał wrócić po około czterech. Miał tam wypadek. Do pełnego zdrowia wrócił dopiero po dwóch latach.

Szkolenia

Pod koniec 2011 pojechał na dwupółtygodniowe szkolenie z ratownictwa i postępowania w zdarzeniach masowych do Izraela.

zapraszany na taki kurs. Zazwyczaj nie muszę za niego płacić, czasem pokrywam tylko koszty podróży. Jaką korzyść mają te firmy? Wiedzą, że jeśli będzie taka konieczność, mają wyszkolonego człowieka w danej dziedzinie. Zresztą większość zachodnich organizacji ratowniczych nie patrzy na to, co będzie miało z tego, że mnie wyszkoli. Widzą, że ktoś fascynuje się ratownictwem bardziej niż przeciętnie i zapraszają.

Jak mówi, na dobrą sprawę w Polsce nie opłaca się szkolić. Bo to, czy ktoś ma dodatkowe kwalifikacje, nie przekłada się na zarobki.

- Na zachodzie, po zdobyciu każdej nowej umiejętności, zrobieniu dodatkowego kursu, pensja wzrasta - tłumaczy. - Wtedy taka osoba ma pieniądze i motywację do kolejnych szkoleń. W Polsce gdyby nie sponsorowane kursy, nic by nie było.

Swego czasu był konsultantem w Ministerstwie Zdrowia w zespole ds. ratownictwa, potem w Ministerstwie Obrony Narodowej w zespole ds. sprzętu i wyszkolenia ratownictwa taktycznego wojska. Nadal pracuje w pogotowiu. Jak widzi swoje życie za 20 lat?

- Chciałbym szkolić innych - mówi. - Wiem, jak uczyć ratownictwa i chciałem to robić. Wiem, że te szkolenia, które prowadziłem do tej pory odbiegały może od zajęć prowadzonych przez innych wykładowców, ale za to cieszyły się wielkim powodzeniem. Duży nacisk cały świat kładzie na zajęcia praktyczne. I ja też tak robię i to się podoba.

Katarzyna Malinowska-Olczyk



foto: archiwum prywatne

Szkolenia - to sposób Roberta Sosnowskiego na ciągły rozwój

trolach, uczestniczył również w działaniach grupy szturmowej.

O tym, co widział, nie chce mówić. Przyznaje jednak, że każdy jego wyjazd na tereny objęte wojną, to przeżycie, które zapada głęboko w pamięć. A widziane obrazy wracają nawet po

- Normalnie takie szkolenia kosztują około 2 tys. euro, ja miałem wszystko opłacone - opowiada. - Tyle lat działając w ratownictwie, mam wiele międzynarodowych kontaktów i dostaję informacje o szkoleniach. Wysyłam swoje CV i czasem jestem

Leki szeptuchy

Współczesne szeptuchy dysponują dość prostym zestawem leków i metod. O ziołolecznictwie wiedzą tyle, co przeciętni mieszkańcy ich wsi. Przyczyna tkwi w tradycji. Szeptuchy są spadkobierczyniami pokoleń podlaskich znachorów, czyli lekarzy ludu

Dawniej ludowi „pomagacze” dzielili się na kilka grup specjalistów - podobnie jak dzisiejszy personel medyczny. Przykładowo kowale służyli chłopstwu za dentystów. Wioskowe akuszerki były pielęgniarkami i położnymi zarazem. Ludowych zielarzy w znacznej mierze zastąpili współcześni farmaceuci. Wreszcie podlaskie szeptuchy są spadkobierczyniami pokoleń tutejszych znachorów, czyli lekarzy ludu. Z tej tradycji wywodzi się dzisiejsza specyfika ich działalności oraz zestaw wykorzystywanych metod i środków. Dlatego też o ziołolecznictwie wiedzą tyle, co przeciętni mieszkańcy ich wsi.

Nie znaczy to, że szeptuchy nie używają środków pochodzenia naturalnego. Przeciwnie, niemal wyłącznie takie stosują. Do niedawna tylko takie były na wsi dostępne. Tylko takie mogły służyć tu w nagłej potrzebie do ratowania zdrowia i życia. Dziś w powszechnym użytku jest woda, cukier i chleb (ew. ciastko), czasem też mak. Zawsze są pod ręką i łatwo wydzielać z nich kolejne porcje leku. Wszystkie one mają szerokie prozdrowotne zastosowanie. Same w sobie właściwie nie są lekami. Zaczynają nimi być dopiero w rękach szeptuchy. Wówczas stają się nośnikami ozdrowiającej mocy. Właśnie dzięki nim tę moc pacjent może zabrać ze sobą do domu - dla siebie lub kogoś z bliskich.

Charakter współczesnej medycyny ludowej szeptuch wyznacza jednak przede wszystkim zakres zwalczanych przez nie chorób. Wszak domeną uzdrowicieli jest walka z tym, czego lekarze nie uznają. To głównie pięć chorób, o których opowiadałam w ostatnich miesiącach - wiatr, przestrach z urokiem, róża oraz nerw-kołtun. Z tego zapotrzebowania w terapii pojawiają się środki o szczególnym przeznaczeniu. Będą to kolejno popiół drzewny, wosk pszczeli, pakuły lniane oraz surowa owcza wełna. Tradycyjnie łatwo dostępne, dziś sprawiają nieco kłopotu samym uzdrowicielom. Silnie zakorzenione w terapii nie wychodzą jednak z użycia.

foto.: Małgorzata Anna Charyton



Cukier, popiół i wełna - to niektóre z leków stosowanych przez szeptuchy. Cudowną moc zyskują dopiero, kiedy odwołone zostaną nad nimi modlitwy

Popiół drzewny to sposób na przezwyciężenie. Wykorzystując go metoda ma charakter mieszany, diagnostyczno-leczniczy. Popiół pozyskuje się na bieżąco z kuchennego pieca i umieszcza w szklance. Szklankę szczelnie owija białą, lnianą chustką (łatką) i obraca do góry dnem. Popiołem wielokrotnie obwodzi się ciało, szczególnie chore miejsce. Na zakończenie szklankę się odwraca i rozwija chustkę. Analizuje się spękania i nierówności w bryle popiołu. Większa ilość i głębokość bruzd świadczy o cięższej chorobie. Jest też wskazaniem do powtarzania wizyty. Brak wyrwy dowodzi, że dolegliwości nie są związane z wiatrem, a przyczyn cierpienia należy szukać gdzie indziej.

Użycie wosku pszczelego również ma wymiar diagnostyczno-leczniczy. Najlepiej sprawdza się w przypadku zwalczania przestrachu (a więc i uroku). W małym garnku wosk ogrzewa się na płycie kuchennego pieca. Roztopiony przelewa się do drugiego garnuszka z zimną wodą, opartego o głowę pacjenta. Na podstawie kształtu zakrzepłego wosku orzeka się o nasileniu oraz przyczynie lub sprawcy przestrachu. Zabieg można zastosować kilkakrotnie. Wosk stopniowo wyciąga wówczas to, co odpowiada za złe samopoczucie chorego. Przy kolejnych powtórzeniach staje się zatem coraz gładszy.

Podobną funkcję spełnia len, gdy spala się go na okrytej chustką głowie. By len się zajął, zbliża się woskową cienką świeczkę - nigdy zapalniczkę, tylko zapalniczkę. Wielkość płomienia, gwałtowność spalania i wysokość unoszenia pozwalają na ocenę nasilenia problemu,

a także ocenę terapeutycznej skuteczności zabiegu. Ponadto len jest niezastąpiony w walce z różą. Wówczas procedura różni się w wielu szczegółach. Przede wszystkim spala się go nad częścią ciała objętą zmianami skórными. Chore miejsce okrywa się lnianą, koniecznie białą lub czerwoną chustką. W obu wariantach kluczowe jest jednak odpowiednie przygotowanie lnu. Wykorzystuje się surowe pakuły, wydziela z nich kilka włókien i kształtuje je w trzy (ew. dziewięć) bardzo luźne gałki, czyli kłębki.

Ostatnim środkiem leczniczym charakterystycznym dla medycyny ludowej szeptuch jest wełna - koniecznie surowa, wyprana jedynie. Nie bierze ona udziału w specjalistycznych zabiegach, lecz podobnie jak woda lub cukier, zabierana jest przez pacjenta do domu. Nie ma też tak szerokiego zastosowania, jak wspomniane środki. Dedykowana jest wyłącznie chorym na nerw-kołtun. Porcję wełny dzieli się na trzy części. Każdą część przez trzy dni okłada się na miejsce objęte chorobą (ból, paraliż). W przypadku objawów uogólnionych wełnę umieszcza się na noc pod głowę.

Jaka siła kryje się w tych symbolicznych przedmiotach i zabiegach? Dlaczego właśnie w rękach szeptuchy owe środki zyskują leczniczą moc? Powody, dla których stosowana przez podlaskich uzdrowicieli ludowa medycyna może być skuteczna, wyjaśnię już w następnym miesiącu.

Małgorzata Anna Charyton

*mgr etnologii, doktorantka
Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej UAM*

Lekarze białostoccy

w okresach: międzywojennym i powojennym

Dominik Kossakowski

(1902-2000)

Urodził się 19 maja 1902 roku we wsi Brodowo w powiecie grajewskim. Jego rodzicami byli: ojciec Stanisław - rolnik i matka Felicja z Olbrychskich. Dominik miał sześcioro rodzeństwa.

Gimnazjum Ogólnokształcące ukończył w Białymstoku w 1923 r. W latach 1923-1929 studiował na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, uzyskując dyplom „Doctora Medicinæ Universæ”. Po studiach podjął pracę w szpitalu w Grudziądzu na oddziale chirurgicznym i położniczo-ginekologicznym.

8 lutego 1932 r. zawarł związek małżeński z Ireną Jacewicz. Mieli jedno dziecko - Annę (później została ona lekarzem okulistą). Jeszcze w 1932 r. przeniósł się do Brzostowicy Wielkiej (powiat Grodno), gdzie pracował jako lekarz ubezpieczalni społecznej i wolno praktykujący. Tu w czasie wojny udzielał pomocy medycznej partyzantom. W 1944 r. został aresztowany przez gestapo i uwięziony w Białymstoku.

Po wojnie w latach 1945-1946 był kierownikiem Ośrodka Zdrowia w Michałowie. Do Białegostoku przeniósł się w 1946 r. i objął stanowisko ordynatora oddziału chorób wewnętrznych w Szpitalu Miejskim przy ul. Warszawskiej.

Po powstaniu Akademii Medycznej w 1950 r. współpracował z prof. Jakubem Chlebowskim, kierownikiem II Kliniki Chorób Wewnętrznych. Był ordynatorem oddziału chorób wewnętrznych Szpitala Wojewódzkiego im. Jędrzeja Śniadeckiego. Na prośbę rektora w roku akademickim 1957/58 pełnił obowiązki kierownika Zakładu Farmakologii.

W latach 1962-1968 był adiunktem w I Klinice Chorób Wewnętrznych, kierowanej przez prof. Beatę Bogdanikową. W klinice tej wyodrębniono oddział reumatologii, którego ordynatorem został dr Dominik Kossakowski. W 1966 r. był on oddelegowany do Klinicznego



Ośrodka Naukowego w Świeradowie. Przez wiele lat kierował Wojewódzką Przychodnią Reumatologiczną. Pod jego kierownictwem wielu lekarzy uzyskało II stopień specjalizacji. Zainteresowania naukowe koncentrowały się głównie na reumatologii i balneologii.

Poza pracą zawodową poświęcał wiele czasu pracy społecznej. Był przewodniczącym Miejskiego Komitetu Przeciwalkoholowego oraz kierował sekcją Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia w Szpitalu Wojewódzkim.

Prof. Beata Bogdanikowa w opinii o dr Kossakowskim pisze: „doskonały organizator, doświadczony i niezwykle sumienny lekarz, bardzo uczynny wobec młodszych kolegów, bardzo dobry dydaktyk”.

W środowisku lekarskim cieszył się wielkim autorytetem i powszechną sympatią. Był osobą niezwykle otwartą i serdeczną; z dużym zaangażowaniem przekazywał wiedzę młodszym kolegom. Miał gruntowne wykształcenie, słynął jako świetny znawca łaciny. Lubiał cytować łańskie przysłowia i aforyzmy.

Po przejściu na emeryturę jeszcze długo leczył chorych w Przychodni Reumatologicznej.

Zmarł po ciężkiej chorobie 2 sierpnia 2000 roku w wieku 98 lat. Pochowany został na cmentarzu farnym w Białymstoku.

Mieczysław Sopek

Dr n. med., były wieloletni pracownik Zakładu Anatomii Prawidłowej Człowieka UMB

Magdalena Szkudlarek

Dr n. med., adiunkt Zakładu Anatomii Prawidłowej Człowieka UMB



fot.: archiwum rodzinne

Dr Anna Stasiewicz i dr Dominik Kossakowski

Chyrowiacy w białostockiej akademii

JAN PIETRUSKI*

To była wyjątkowa szkoła. Jej wychowankowie to późniejsza polska elita, m.in. wicepremier i twórca portu w Gdyni Eugeniusz Kwiatkowski, pisarz Jan Brzechwa, ale także twórca białostockiej kliniki otolaryngologii prof. Wiktor Hassmann.

W czasach II Rzeczypospolitej Zakład Naukowo-Wychowawczy Ojców Jezuitów w Bąkowicach pod Chyrowem (tak brzmiała oficjalna nazwa tej słynnej szkoły nieopodal Przemyśla) uważany był za najlepiej wyposażone gimnazjum w Polsce. Świetna organizacja, znakomita realizacja nauki i wychowania, wysoka profesjonalność dydaktyczna dała Polsce w ciągu zaledwie 53 lat istnienia kilkuset najznakomitszych specjalistów dosłownie we wszystkich dziedzinach życia. W naszej Akademii Medycznej pracowali dwaj wychowankowie słynnego chyrowskiego kolegium: profesor Wiktor Hassmann, założyciel i pierwszy kierownik Kliniki Otolaryngologicznej, oraz piszący te słowa - Jan Pietruski. W czasie dwóch wojen światowych przepadły wszystkie dokumenty zakładowe, można więc tylko w przybliżeniu przyjąć liczbę wychowanków na ponad sześć tys. uczniów, z których ponad 1200 zdało w Chyrowie maturę.

Jestem jednym z ostatnich uczniów kolegium. Mimo lat, jakie upłynęły, młoda pamięć zarejestrowała tysiące drobnych szczegółów i przekonanie, jak wiele tej szkole zawdzięczam. Każdy dzień wypełniony był co do minuty logicznie rozplanowaną nauką i rozrywkami

dopasowanymi do wieku uczniów. Nigdy nie zdarzały się nieprzewidziane sytuacje lub zmiany w rozkładzie dnia. Nie przypominam sobie też, aby jakaś lekcja się nie odbyła. Była to szkoła stojąca na bardzo wysokim poziomie. Oprócz „zwykłych” przedmiotów, uczono też muzyki i języków obcych. Duży nacisk kładziono na naukę dobrych manier, tego na przykład, jak należy zachowywać się w obcowaniu ze zwierzchnikiem, kolegą lub podwładnym, a także w domu, przy rodzinnym stole podczas posiłków; jak należy trzymać sztucce, że nie powinno się trzaskać drzwiami, ani wołać kogoś w mieszkaniu, co dopuszcza się na dworze itp. Dla jasności opisu szkoły trzeba dodać, że konwikt chyrowski nie miał nic z klerykalizmu.

W mundurku z tarczą

Zakład mieścił się w dużym, dwupiętrowym budynku, wybudowanym na planie kwadratu, z wysokim parterem (zdj. 1). Znajdował się tam internat, szkoła powszechna i średnia (w sumie było 327 pokoi mieszkalnych i sal wykładowych dla 400 wychowanków - red.). Był też olbrzymi refektarz przewidziany na 550 osób, w którym równocześnie zasiadali do posiłków wszyscy uczniowie. Obok był „przyrośnięty” kościół, do którego można było dostać się bocznym wejściem z tego samego korytarza, którym szło się do refektarza. Po przyjeździe do Chyrowa, każdy uczeń dostawał granatowy mundurek ze złotymi pagonami, zapinany pod szyję na dwie haftki, aby kołnierz się nie kładł. Młodszy nosili tzw. pumpy, czyli spodnie zapinane poniżej kolan, starsze klasy już nor-

malne, długie. Mundurek był obowiązkowym ubiorem na co dzień. Wyposażenie obejmowało również granatowy płaszcz ze złotymi guzikami i zamszowym kołnierzem, oraz miękką rogatywkę z daszkiem i okrągłym znaczkiem - literami „ZCh”. Na lewym przedramieniu widniała tarcza z numerem 622. Młodszy mieli tło niebieskie, gimnazjum i liceum - czerwone. Bielizna osobista nosiła numer ucznia i znajdowała się na specjalnej półce, zawsze gotowa do wymiany

Uczniowie byli podzieleni według klas na grupy zwane dywizjami. Starsze klasy tworzyły jedną dywizję, młodsze zaś miały dwie klasy w jednej dywizji. Kierował nimi - od rannej pobudki (o szóstej) do wieczornego gaszenia światła (o pół do dziesiątej) - ksiądz prefekt. Wszystkie przejścia do sypialni, jadalni czy refektarza odbywały się pod kontrolą argusowego oka księdza prefekta, życzliwie nastawionego do młodzieży. Przejścia korytarzami odbywały się zawsze uporządkowaną grupą, parami i każdy z nas zawsze miał z przodu i za sobą tego samego kolegę. Ponieważ od dawna wiadomo, że lepiej przewidywać, niż interweniować, obowiązującym zwyczajem na szerokich korytarzach, było dzielenie par w ten sposób, że jeden uczeń szedł pod jedną, a drugi pod drugą ścianą szerokiego korytarza. To wykluczało rozmowy i wzajemne szturchanie. W ten sposób także „mijaniki” idących z przeciwka odbywały się wolnym środkiem, bez kłopotów i z zachowaniem porządku. Ksiądz szedł na samym końcu. Ten sam szyk obowiązywał na schodach. Nie można było samodzielnie chodzić po korytarzach w celu załatwienia jakiegś

sprawy, bowiem każdy problem załatwiał się za pośrednictwem księdza prefekta.

Razem na śniadanie

Do refektarza na posiłki wchodziło i wychodziło się również według ustalonego porządku. Każda dywizja miała swoje stoły i przy nich stałe miejsce. Po przyjściu wszyscy stawiali przy swoich miejscach i czekali, aż Ojciec Generalny ze swego podwyższenia zacznie modlitwę. Brzmiała ona: „Pobłogosław Panie Boże te dary, które z Twojej szczerobliwości spożywać mamy, przez Chrystusa Pana naszego. Amen”. Po czym na znak dany ręką, cała sala w potwornym huku przesuwanych krzesel, siadała, zabierała się do jedzenia i rozmów. Po posiłku, znów na znak Ojca Generalnego wszyscy wstawali z łoskotem, robiła się cisza i odmawialiśmy tę samą modlitwę, z formułą podziękowania. W menu nigdy nie było żadnych łakoci, dlatego zawsze wielkim wydarzeniem były paczki ze smakołykami, przysyłane przez rodziców. Słodczyce można było kupić w sklepiku po uzgodnieniu z prefektem i odpisaniu sumy ze szkolnych książeczek oszczędnościowych.

Po obiedzie rozchodziliśmy się na rekreację na powietrzu, obejmującą rozmaite zajęcia, gry sportowe, zabawy ruchowe albo krótkie spacerki. Każda dywizja miała swoje boisko zabaw, obiekty sportowe (w zakładzie były cztery korty tenisowe i osiem boisk - red.), oddzielone od sąsiedniego żywopłotem. Zawsze był z nami ksiądz wychowawca, który aranżował spędzanie wolnego czasu, a czasami też brał udział w zabawach. Amatorzy muzyki ćwiczyli w specjalnej altance, tak zbudowanej, że skutecznie głużyła głośno nieraz koncerty. Rekreacje i jadalnia były jedynymi miejscami, gdzie panował gwar. Poza tym w całej szkole przez cały dzień panowała cisza.

Po zakończeniu poobiedniej rekreacji przechodziliśmy do sali zwanej „muzeum”, gdzie odrabialiśmy lekcje. Każdy z nas miał biurczko z odchylanym blatem, pod którym trzymał zeszyty, książki i korespondencję. Dwie pierwsze popołudniowe godziny przeznaczone były na naukę.



foto: archiwum autora

W olbrzymim budynku konwiktu w Chyrowie było ponad dwa kilometry korytarzy



foto: archiwum autora

Na wewnętrznym dziedzińcu zakładowy fotograf robił na początku roku zbiorowe zdjęcia uczniów. Moja klasa (autor w górnym rzędzie drugi od lewej, w pierwszym rzędzie od lewej ks. prefekt generalny, ks. rektor i nasz prefekt)

Porządku i spokoju pilnował krążący z brewiarzem w ręce prefekt. Miał buty na specjalnej miękkiej gumowej podeszwie, co pozwalało bezszmerowo spacerować po sali i nie rozpraszać uwagi uczniów podczas nauki. Dopiero podczas trzeciej, ostatniej godziny przed kolacją, można było zająć się korespondencją, albo czytaniem książki. Z „muzeum” nie było można zabierać ani książek, ani zeszytów. Podczas odrabiania lekcji panowała cisza. Jeżeli ktoś chciał pójść do toalety, nie zgłaszano tej potrzeby głosem, lecz kawałkiem skręconego w rurkę papieru i podniesieniem

ręki, w oczekiwaniu aż prefekt zauważy i pozwoli wyjść. Następny uczeń mógł wyjść dopiero wtedy, jak wrócił poprzedni.

Spotkanie z teleskopem

Zakład chyrowski miał własną drukarnię i corocznie drukował aktualny spis uczniów. Miał też małe obserwatorium astronomiczne z prawdziwego zdarzenia, z teleskopem i z obrotową kopułą. Już uczniowie trzeciej klasy mieli w programie geografii jedną godzinną wycieczkę do obserwatorium późnym wieczorem przy



fot.: archiwum autora

Uczniowie w „muzeum”

pogodnym niebie, w celu zaznajomienia się z nazwami najważniejszych konstelacji, a także z ruchem Ziemi. Na początku lekcji, kopuła obserwatorium w pewnym miejscu rozchylała się tworząc szparę, przez którą kierowano teleskop na księżyc. W trakcie obserwacji, księżyc z wolna „uciekał” z pola widzenia, wskutek czego, trzeba było teleskop na nowo kierować na księżyc. Wyjaśniono nam, że zjawisko, „ucieczki” księżycy z pola widzenia, spowodowane jest nieustannym obrotem Ziemi. Aby tego uniknąć, włączano specjalny mechanizm obracający kopułę obserwatorium zgodnie z ruchem Ziemi.

W szkole były przestronne klasy, doskonale wyposażone w pomoce naukowe, pracownie przedmiotowe, bibliotekę (z ok. 30 tys. książek), bogate zbiory geograficzne, historyczne, przyrodnicze. W zimie chłodne były właściwie wszystkie pomieszczenia. Klasy, sypialnie, korytarze. Okna były często uchylone, nawet gdy prószył śnieg. Może dlatego młodzież z chęcią uczestniczyła w zajęciach ruchowych na dworze. Przywiązywano wielką wagę do świeżego powietrza i hartowania organizmu. Tłumaczono nam, że w zamkniętych pomieszczeniach zbiera się dużo dwutlenku węgla z naszych płuc, który powinien być wymieniony na tlen z zewnątrz, dlatego konieczne jest wietrzenie kilka

razy dziennie sal, a już szczególnie sypialni przed snem.

Sypialnie były dużymi salami, gdzie spała cała dywizja z prefektem (ten spał na niewielkim podwyższeniu, jego łóżko oddzielone było białym parawanem). Wszystko więc musiał słyszeć i w razie rozmów natychmiast reagował. Gdy mijala godzina obowiązkowej ciszy nocnej, wszelkie rozmowy były niedopuszczalne.

Za młodzięcze wykroczenia przewidziane były kary znane rodzicom jeszcze przed podjęciem decyzji o umieszczeniu dziecka w zakładzie. W ich ramach od czasu do czasu bywały tzw. „czarne kawy”, czyli obowiązkowe zgłoszenie się do ojca rektora, albo generalnego, oczywiście w obecności księdza prefekta. Takie spotkanie zazwyczaj kończyło się na pedagogicznej, pouczającej rozmowie, podczas której nigdy nie podnoszono głosu, tłumacząc młodzieży, że nie jest to żaden argument. Rozmowa była jednak tak prowadzona, że pamiętało się ją długo, nieraz całe życie. Największą karą stosowaną wyjątkowo wobec trudnych charakterów, lub powtarzających się wykroczeń było ogolenie głowy „na pałę”, tym dotkliwsze, że wszyscy ogoloną głowę widzieli. Z drugiej jednak strony świadomość, że każdy to widzi, była czynnikiem przypominającym, że zanim się coś zrobi zawsze, trzeba najpierw pomyśleć.

Pamiętna Wielkanoc

Na Wielkanoc prawie wszyscy uczniowie wyjeżdżali. Nasi rodzice (w Chyrowie byłem ze starszym bratem) postanowili, że zostaniemy w zakładzie, za to do nas miała przyjechać mama i siostra. Cieszyliśmy się bardzo z tej wizyty. Zostało nas kilkunastu ze wszystkich lat i nie było właściwie żadnej opieki. Księża, nasi wychowawcy, też się ulotnili. Bo i wielkie święto kościelne i rodziny, które oni też mieli. Zakład był pusty jak wymiół, z czego skwapliwie skorzystaliśmy, urządzając sobie np. wycieczki do lochów pod zakładem, lub spacerując po dużym parku i zaglądając do wszystkich miejsc i zaułków normalnie niedostępnych. Odwiedzający mieszkali w domku, zwanym nie wiadomo dlaczego szpitalikiem, który znajdował się, tuż za naszymi boiskami. Tam można się było wybrać w określonych porach i spotkać z bliskimi, bo do zakładu odwiedzający nie mogli wchodzić. Mama jak zawsze była czuła, o wszystko pytała, czy nam tu jest dobrze i coś też przewiozła dla osłodzenia naszej samotności. Mój starszy brat mi przypomina, że wykorzystaliśmy „oblewany poniedziałek” i tak oblaliśmy naszą siostrę, że aż ktoś z powodu tego po-



fot.: archiwum autora

Autor w mundurku, jaki chyrowiaci musieli nosić na co dzień

topu interweniował. Pożegnaliśmy się z żalem z rodziną i znowu zostaliśmy sami aż do wakacji.

Przed wakacjami ważnym wiosennym wydarzeniem, na które wszyscy czekali, była tzw. „majówka”. Przy sprzyjającej pogodzie, jeden dzień tradycyjnie chyrowiacy spędzali w niedalekim lesie nad rzeką Strwiąż. Na majówkę jechaliśmy samochodem, bodajże ciężarowym, który chłopcy ochrztili „dryndą chyrowską”. Towarzyszył nam też skrzyaniasty wóz, który przywoził wiktuały przygotowane przez kuchnię. W programie były zabawy, spacery i kąpiel w pobliskiej rzece. Nie była wielka ani głęboka, więc bezpieczna. Ogromne wrażenie podczas tej majówki zrobiła na mnie grotą, w której była figura Matki Boskiej. Mówiono, że jest repliką groty w Lourdes. Przedtem żadnej innej groty nigdy nie widziałem. Bardzo mi się podobała, ale nie mogłem pojąć, dlaczego mówiono, że jest sztuczna, gdyż nic w niej sztucznego nie widziałem. Pamiętam, jak zgłodniały bieganiń po lesie i kąpielą w rzece, rzuciliśmy się na wyśmienity obiad pod drzewami. Potem nadszedł czas odjazdu. Na następną majówkę trzeba było czekać cały rok.

Pod koniec czerwca 1939 roku wyjechaliśmy z Chyrowa do domów, nie przypuszczając, że nigdy już tam nie wrócimy. Ktoś z personelu zawiózł nas do pociągu do Bąkowiec lub Dobromila, a na pięknym lwowskim dworcu czekali na nas najbliżsi. Wakacje z bratem i siostrą spędziliśmy w Brzuchowicach pod Lwowem. Gdy pierwszego września wybuchła wojna, z jej okrucieństwa nie zdawaliśmy sobie sprawy. Wracając do Lwowa, słyszeliśmy po raz pierwszy w życiu detonacje, niezliczone strzały i przerażający dla nas widok ciężko rannych lub martwych żołnierzy w polskich mundurach. Mowy nie było o szkole, ani o powrocie do Chyrowa. Księża, którzy kierowali zakładem, musieli go natychmiast opuścić, a wspaniały zespół budynków przeznaczono na cele militarne.

Skróty pochodzą od redakcji

* - Doc. dr hab. med., członek honorowy PTOtoł, członek honorowy Światowej Unii Lekarzy Pisarzy

Najbardziej znani chyrowiacy:

- politycy: Eugeniusz Kwiatkowski,
- pisarze: Jan Brzechwa, Franciszek Ksawery Pruszyński, Kazimierz Wierzyński,
- działacze społeczni: ks. Mieczysław Kuznowicz, Mieczysław Chłapowski, Tadeusz Łubieński, Roman Wajda;
- duchowni: kardynał Adam Kozłowiecki (arcybiskup Łuski), biskup Kazimierz Tomczak, Edward O'Rourke (pierwszy biskup gdański), Marian Morawski (bratanek założyciela, teolog, męczennik Oświęcimia), ks. Stanisław Starowieyski (zakonnik ze Zgromadzenia Kapłanów od Najświętszego Sakramentu, przyjaciel Karola Wojtyły, z którym wspólnie wyjechał na studia do Rzymu w 1946 r.), Stanisław Styś (jezuita, bibliista, profesor)
- naukowcy: Aleksander Birkenmajer, Mieczysław Jerzy Gamski, Paweł Siwek
- lekarze: Marian Garlicki
- artyści i działacze kulturalni: Adam Styka, Antoni Wiwulski (twórca Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie), Witold Bełza;
- aktorzy: Kazimierz Junosza-Stępowski, Włodzimierz Ziemiński.

Zakład w Chyrowie został otwarty w 1886 roku. Miał przestronne klasy, pracownie przedmiotowe, bibliotekę z 30 tys. książek, bogate zbiory geograficzne i historyczne (w tym archeologiczne i numizmatyczne), przyrodnicze (własny ogród botaniczny), sale gimnastyczne wyposażone w sprzęt do różnych dyscyplin, boiska i korty tenisowe. Posiadał też własną sieć wodociągową i kanalizacyjną, własną elektrownię, szpital, młyn z piekarnią, pralnię parową, ślusarnie, stolarnie, własne folwarki. Budynki były otoczone parkami, klombami i ogrodami. Wychowankowie należeli do elity państwa polskiego. W czasie wojny w budynkach znalazły się najpierw koszarzy Armii Czerwonej, podczas okupacji niemieckiej najpierw był tam obóz jeniecki, a potem szpital wojskowy. Po wojnie Chyrow znalazł się poza granicami Polski. W budynkach zakładu do 1992 roku mieściły się koszarzy wojsk sowieckich, a przez kolejne 12 lat koszarzy wojsk ukraińskich. Budynki konwiktów są obecnie bardzo zniszczone i wymagają generalnego remontu. Kilka lat temu władze Chyrowa zgodziły się na utworzenie tam ukraińsko-polskiego instytutu badawczego. Radni Chyrowa przyjęli nawet uchwałę popierającą koncepcję utworzenia instytutu, jednak później „nagle” zmienili zdanie i wydzierżawili budynki prywatnemu przedsiębiorcy, który chce tam otworzyć ośrodek wypoczynkowy lub park rozrywki.

km

Łomża u boku Białegostoku

W Łomży omal nie doszło w 1563 roku do zwołania sejmu, a rozważano również możliwość odbycia wolnej elekcji. W 1807 roku Łomża została stolicą departamentu, a w 1866 roku stolicą guberni.

To były największe sukcesy miasta ze skaczącym jeleniem w herbie.

Niepodległość

W Łomży w ostatnich latach władania carskiego za sprawą głównie młodzieży rozwinęło się życie konspiracyjne, a jeszcze szybciej przybawało organizacji społecznych. Przeglądając źródła archiwalne i śledząc miejscową prasę można dojść do wniosku, że były to dwa miasta. Jedno - oficjalna stolica guberni, zamieniona w twierdzę, z silnym garnizonem i drugie - samorządny ośrodek polski, przygotowany do natychmiastowego zrzucenia obcego pokostu. Po prawdzie była jeszcze i trzecia Łomża - żydowska, ta jednak w znacznie większym stopniu niż w Białymstoku współżyjąca ze społecznością polską. W ogóle w Łomży procesy asymilacyjne przebiegały silniej, córka policmajstra łomżyńskiego uprzedzała kolegów polskich o przygotowanych aresztowaniach, a Grzegorz Worobjew, szef Wydziału Wojskowo-Policyjnego Rządu Gubernialnego (3. persona w systemie władzy zaborczej) podjął badania nad dziejami regionu, był współpracownikiem Komisji Historii Sztuki przy krakowskiej Akademii Umiejętności i wygłosił referat na Zjeździe Polskiego Towarzystwa Historycznego. W takim mieście w czasie I wojny światowej rozwinęły się struktury Polskiej Organizacji Wojskowej (POW), do której dołączyli skauci (harcerze) i gimnazjaliści. Powitano ze wzruszeniem 26 listopada 1916 r. 1 Pułk Legionów z dowódcą gen. Edwardem Rydzem-Śmigłym, zastąpiony po kilku miesiącach 4. Pułkiem Legionów. A po tzw. kryzysie przysięgowym



**ADAM
CZESŁAW DOBROŃSKI***

- wywołanym przez J. Piłsudskiego - opiekowano się troskliwie internowanymi legionistami.

11 listopada 1918 r. niecierpliwosć peowiaków sprawiła, że nie poczekali na dopełnienie umowy polsko-niemieckiej i pięciu z nich oddało życie za Niepodległą. Był wśród nich komendant Leon Kaliwoda. Następnego dnia, gdy ostatni żołnierze niemieccy wychodzili z miasta, ruszył w kierunku cmentarza kondukt żałobny. Szła w nim i Halinka Jarnuszkiewiczówna, ukochana Leona. On stał się bohaterem, przeszedł do legendy łomżyńskiej, ona straciła sens życia. 21 stycznia 1919 r. grabarz znalazł ciało Halinki leżące na grobie peowiaków. Uproszono władze kościelne, by nie kazały pochować samobójczyni pod murem cmentarnym, wieczorem zaś pojawili się koledzy, wydobyli trumnę Halinki, złożyli ją obok szczątków doczesnych Leona Kaliwody. Maria Kaczyńska opowieść o tej historii tytułowała „Romeo i Julia z Łomży”.

Zastugi bitewne

Peowiacy łomżyńscy zasilili 33 pułk piechoty, który w okresie dwudziestolecia międzywojennego stacjonował w ich mieście. Zanim się jednak to stało, 28 lipca 1920 roku pod opisywany gród podeszły podjazdy wojsk Ar-

mii Czerwonej. Rozpoczęły się ciężkie boje, żołnierze polscy wykorzystali forty piątnickie, pomocą służyli im ofiarnie mieszkańcy. Najeźdźcy przełamali opór obrońców dopiero 2 sierpnia, ponieśli znaczące straty. Walki pod Łomżą, Nowogrodem i Ostrołęką miały kolosalne znaczenie dla strony polskiej, umożliwiły dokonanie przegrupowania sił do Bitwy Warszawskiej. Szkoda, że Łomża nie została odznaczona Krzyżem Virtuti Militari lub Krzyżem Walecznych, bo bezsprzecznie sobie na ten honor zasłużyła.

Podobnie bohaterska i długa była obrona miasta we wrześniu 1939 roku. Tym razem od 7 do 11 września wojska niemieckie ponawiały ataki na pozycje I batalionu 33 pułku piechoty (Strzelców Kurpiowskich) dowodzonego przez mjr. Stanisława Wyderkę. Niemcy wprowadzili do walk czołgi i samoloty, znów ładną kartę zapisały służby łomżyńskie wspierające żołnierzy. Inna sprawa, że tak uporczywa obrona sprawiła, że cała 18 Dywizja Piechoty - w jej składzie był również białostocki 42 pułk piechoty - nie zdołała przebić się nad rzekę Bug i skapitulowała 13 września w rejonie Andrzejewa (Czyżewa).

Nie można zapominać o ruchu oporu w mieście, i to zarówno podczas okupacji sowieckiej, jak i niemieckiej (próba zdobycia więzienia). Ciekawy, a mało znany epizod z ostatnich dni wojny, podał prof. Witold Jemielity. 12 września 1944 r. dwaj oficerowie niemieccy oświadczyli bp. Stanisławowi Łukomskiemu, że musi być zburzona katedra, jako najwyższy punkt miasta. Nie pomogły pertraktacje, Niemcy odrzucili propozycję ks. ordynariusza, by zburzyć zamiast kościoła dzwonicę, lub tylko dach świątyni. Zgodzili się natomiast pozostać jeszcze krótko w katedrze. Biskup „...udał się do kaplicy Matki Boskiej na modlitwę. Wyszedł stamtąd niosąc dwa różańce i dał je oficerom, zauważył bowiem, że byli katolikami. Życzył im także, aby szczęśliwie wrócili do swoich rodzin, w czym pomoże Matka Boża, gdy pozostawią nienaruszoną świątynię”. Pozostawili.

Łomża powiatowa między wojnami

W 1919 roku zapadła decyzja o utworzeniu województwa białostockiego z Grodnem i Wołkowyskiem, Łomżą i Suwałkami. Tym samym Łomża - wraz z powiatami ostrowskim i ostrołęckim - pozostała poza województwem warszawskim (mazowieckim). Zdegradowana do stolicy powiatu nie otrzymywała należytego wsparcia finansowego z funduszy centralnych. Nie usprawniono połączeń komunikacyjnych (od 1915 r. istniała jedynie odnoga kolejowa do Śniadowa), kulała mocno infrastruktura komunalna, nie rozwinął się przemysł. Niejako własnym sumptem uratowano wysoki poziom szkół średnich, w 1925 roku powstała diecezja łomżyńska, dobrze przysłużył się miastu wspomniany garnizon. W końcu 1938 roku liczyło ono niemal 28 tys. ludności, czyli 3,5-krotnie mniej niż Białystok. Wyraźnie dominowali katolicy (63 proc.) przed wyznawcami mojżeszowymi (35 proc.); udział wyznawców ewangelicko-augsburskich oszacowano na 1,15 proc., a wyznawców prawosławnych na 0,1 proc. Łomżycy „dawnej daty” z sentymentem wspominali swój ukochany gród, z melancholią opowiadali o bogatym życiu kulturalnym, uzdolnionych rzemieślnikach, produktach żywnościowych niepowtarzalnej dobroci, zacnych sąsiadach itp. Za akt sprawiedliwości dziejowej przyjęli włączenie miasta i powiatu do województwa warszawskiego, co nastąpiło z dniem 1 kwietnia 1939 roku. Za to po wrześniu tego roku nijak nie mogli zrozumieć, co ich może łączyć z Republiką Białoruską, do której ich wcielono.

Doktor społecznik

Łomża posiadała w dwudziestoleciu międzywojennym cztery szpitale: mający bogatą historię św. Ducha (państwowy od 1924 r.), św. Wojciecha (samorządowy, leczono w nich choroby weneryczne i skórne), św. Rocha (w Piątnicy, choroby zakaźne) i żydowski. Postacią dobrze znaną był dr Mieczysław Czarnecki (ur. w 1887), autor wspomnień. Jako uczeń klasy IV gimnazjum łomżyńskiego był jednym z założycieli szkolnego koła Zwią-

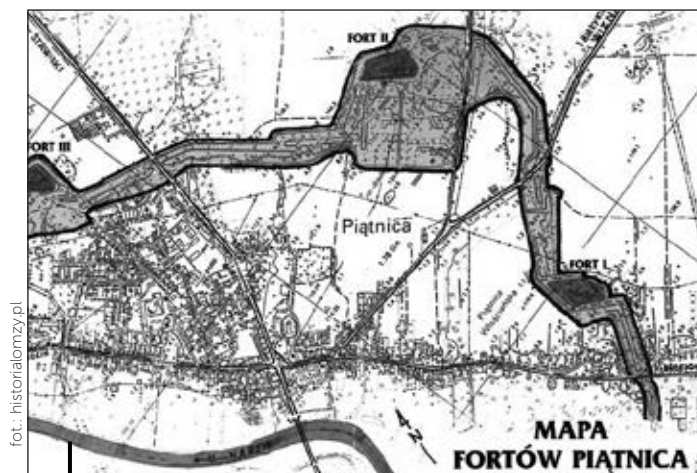


foto: historialomzy.pl

Plan rozmieszczenia fortów w Piątnicy z końca XIX w



foto: Wikipedia

Forty w Piątnicy

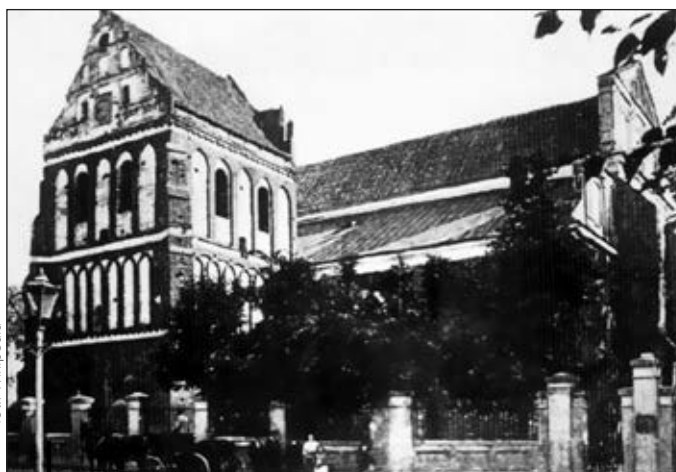


foto: Wikipedia

Cudownie ocalona podczas II wojny światowej katedra łomżyńska

ku Młodzieży Socjalistycznej, wziął udział w strajku, wygłaszał referaty. Po raz pierwszy był aresztowany przed 1 maja 1905 r. za rozdawanie ulotek żołnierzom rosyjskim. Uchodząc przed represjami znalazł się aż w USA, a po

powrocie osiadł w Krakowie i wstąpił na Wydział Lekarski Wszechnicy Jagiellońskiej. Praktykę lekarską podjął podczas wojny światowej (lazarety wojenne), w Łomży w 1917 r. został ordynatorem szpitala św. Ducha. Zdziwiwał

swą aktywnością, wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej i to on potwierdził zgon Leona Kaliwody. Będąc w wojsku zaraził się tyfusem plamistym, w lipcu 1920 r. przerwał jednak kurację, by bronić swego miasta przed wojskami bolszewickimi. Elegancki mężczyzna, zawsze uśmiechnięty i gotów wesprzeć chorych oraz potrzebujących. „Nikt od niego nie odszedł bez dobrej rady, pomocy. Był człowiekiem w całym tego słowa znaczeniu”.

M. Czarnecki w 1928 r. uzyskał mandat poselski, jako socjalista ostro potykał się z politykami Narodowej Demokracji, został posądzony o pochodzenie żydowskie i bezczeszczenie niedziel. Na wiecu po zajęciu przez wojska polskie Zaolzia powiedział: „Obawiam się Niemców nawet wtedy, gdy przynoszą dary”. Sprawował opiekę nad szpitalem św. Ducha podczas okupacji sowieckiej, stał się ofiarą NKWD, siedział w więzieniach w Mińsku i Białymstoku. Konspirował „za Niemców”, zasłużył się jako lekarz Armii Krajowej. Po zakończeniu wojny znów wpadł w ręce NKWD, tym razem ratunkiem okazał się wyjazd na Dolny Śląsk. To on organizował pierwsze placówki służby zdrowia we Wrocławiu. Wydalony z PPS, po dwóch miesiącach więzienia „zaszył” się w Brzegu nad Odrą, gdzie doczekał się rehabilitacji w 1957 roku. Zmarł w 1970 roku, był członkiem honorowym Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej. Szkoda, że jego pamiętnik nie ukazał się drukiem.

Łomża powiatowa po wojnie

Miasto doznało bardzo ciężkich strat, bo front zatrzymał się jesienią 1944 roku na linii Narwi. W sierpniu 1945 roku Łomża miała tylko 12 tys. mieszkańców i ponownie wróciła - bez pytania mieszkańców o zdanie - do województwa białostockiego. Okrzyknięto ją w kręgach partyjnych Białegostoku ośrodkiem reakcji politycznej, zwłaszcza po zabójstwie w sierpniu 1947 roku starosty i przewodniczącego PRN. Do tego dodawano zarzut o dominacji w Łomży duchowieństwa, klerykałów, przeciwników ustroju ludowego. Symbolem terroru stała się katownia UB przy ul. Nowogródzkiej, wielce prawdopodobny jest też zarzut o sfinansowanie wypadku samochodowe-

go, w którym zginął bp. S. Łukomski. Z reguły przywożono do Łomży towarzyszy „w teczce” dla obsadzenia wyższych funkcji, w tym „śledzików”, których miejscowi postrzegali (były wyjątki) jako element obcy nie tylko politycznie, ale i kulturowo. Przegrało całe Łomżyńskie na korekcie planu 6-letniego; niski punkt startu zaważył na słabszym starcie po dalsze inwestycje przemysłowe.

Dyskryminacja miasta osłabiła po 1956 roku, przyspieszono odbudowę starych obiektów, miejscowych patriotów wsparli migranci, który wybili się w Warszawie. Wszystkich ich zespoliło powstałe w 1965 roku Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, a od 1975 roku działa również Łomżyńskie Towarzystwo Naukowe im. Wagów, które „ogarnęło” wcześniej założone oddziały: Towarzystwa Kultury Języka. Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza i Polskiego Towarzystwa Historycznego. W przetrwaniu ciężkich lat pomagała pamięć o przeszłości, mocne poczucie tożsamości regionalnej, dbałość o zachowanie wartości chrześcijańskich i narodowych. Wśród sław łomżyńskich wyjątkowe miejsce zajęła Hanka Bielicka, „rodowita łomżanka z Warszawy”; urodzona rzeczywiście w Łomży, córka miejscowego lidera Narodowej Demokracji. Pani Hania pozostała na stałe w Łomży, siedzi w centrum miasta na ławeczce w jednym ze swych wspianiałych kapeluszy.

Łomża wojewódzka i... podlaska

W 1975 roku uśmiechnęło się szczęście dla Łomży i jej mieszkańców, miasto nad Narwią stało się stolicą jednego z 49 małych województw. Na tyle małego, że nie zasługującego na miano Mazowsza Północno-Wschodniego, bo bez większości gmin powiatów ostrowskiego i bez rozwiązanych powiatów ostrołęckiego (Kurpie Zielone) oraz makowskiego, za to z podlaskimi terenami powiatu wysokomazowieckiego, Rajgrodem, Goniądzem, Ciechanowcem. Nowa jednostka administracyjna liczyła 6684 km², co stanowiło 2,1 proc. powierzchni PRL, a zamieszkiwało ją około 345 tys. osób (0,9 proc. ludności Polski). Pod względem wielkości obszaru było to wprawdzie o połowę więcej niż terytorium ziemi łomżyńskiej

z okresu staropolskiego, ale wyraźnie mniej niż carska gubernia łomżyńska (10,5 tys. km²) i jeszcze bardziej mniej niż departament łomżyński z okresu napoleońskiego (ok. 16 tys. km²). Poza Łomża zrównała się w układzie administracyjnym z Białymstokiem, w rzeczywistości jednak musiała uznawać pod wieloma względami wyższość sąsiada za swą granicą wschodnią.



Obecny i XIX-wieczny herb Łomży

Na pewno na nowym układzie administracyjnym zyskała sama Łomża, która z miasta 31-tysięcznego w 1975 roku stała się w okresie wojewódzkim miastem dwukrotnie liczniejszym. Przybyły duże zakłady przemysłowe, osiedla mieszkaniowe, obiekty, instytucje i placówki, wzrosły zastępy inteligencji. W 1979 roku zaczęto budowę szpitala na miarę wojewódzką, ale ta mocno kulała i generalna przeprowadzka do nowego kompleksu nastąpiła dopiero w 1996 roku.

Nie czuję się kompetentny, by ocenić, czy Łomża i region bardzo dobrze wykorzystały „stan wojewódzki”. Godzi się zauważyć, że był on przesycony kryzysami, transformacją ustrojową, burzami rynkowymi. A 1 stycznia 1999 roku łomżaniacy (nie przyjęło się tu określenie - łomżanie) przebudzili się w siedzibie władz powiatowych i w dodatku w województwie podlaskim. Wielu ze zdumienia przecierało oczy, a i lży się polały; te czas częściowo wysuszył. Historyk nie może mieć wątpliwości, że Łomżyńskie to region wpisany w dzieje naszego państwa i narodu. Zmieniały się granice administracyjne, zasięg oddziaływań gospodarczych, politycznych, społecznych i kulturalnych, a Łomża zachowywała swe niepowtarzalne oblicze. Jeden z jej mieszkańców tak mi określił stan obecny: nasze kochane miasto było i jest mazowieckie, tyle że nabawiło się ostatnio zeza podlaskiego.

* - prof. dr hab., pracownik
Wydziału Historyczno-Socjologicznego UwB

Piąty krzyżyk



**Doktor
ADAM HERMANOWICZ**

ato za progiem, wakacje, tuż-tuż, a w takich chwilach wszyscy, którzy dziećmi już nie są, lubią sobie przypomnieć czasy dzieciństwa i młodości. Wakacje... Całe miesiące bez obowiązków, wyjazdy, przygody, zabawa i brak odpowiedzialności. Łezka się w oku kręci, jak sobie człowiek przypomni, że mógł się kiedyś budzić z rana i nie mieć w głowie listy obowiązków do wykonania, z których zdecydowana większość była na wczoraj. Któregoś dnia to się jednak kończy i boleśnie doświadczamy, że te czasy już nie wrócą. Każdy dzień przynosi nowe obowiązki, kompromisy, doświadczenia i cała ta beztronna młodość przechodzi do słodkiej krainy wyidealizowanych wspomnień. Już wiemy, że nic nie jest czarno-białe, że niczego w życiu nie dostaje się za darmo, że na skomplikowane problemy nie ma prostych recept. Większość z nas w każdym razie wie.

Są jednak chlubne wyjątki i o takim właśnie człowieku chciałbym skreślić kilka słów. Jest to człowiek, któremu szczerze i naprawdę mocno zazdroścę. Tak, przyznaję się bez bicia, że zazdroścę facetowi, który ma piąty krzyżyk na karku i uwierzył z dziecięcym entuzjazmem, że ma cudowną receptę na bolączki całego kraju. Też chciałbym wierzyć, że jednym ruchem można zmienić wszystko, że jedna ustawa zamieni Polskę w kraj

mlekiem i miodem płynący. Marzę o tym, żeby zamiast wątpliwości mieć pewność, że wszyscy się mylą, a ja mam rację. Daleko mi do wieku Pana, o którym mowa, ale jeśli dane mi będzie go dożyć, chciałbym choć w połowie mieć tyle dziecięcej naiwności, co On - Paweł Kukiz.

Człowiek ten stwierdził pewnego dnia, że wszystkie bolesne problemy naszego kraju da się rozwiązać wprowadzając w izbie niższej naszego parlamentu jednomandatowe okręgi wyborcze. W wyższej izbie wprowadzić już je mamy, ale to nie to. Prawdziwa petarda wybuchnie, kiedy również posłów będziemy wybierać w takich okręgach. Kury zaczną nieść dwa razy większe jaja, krowy będą dawały whisky zamiast mleka, w rok przegonimy PKB Niemiec, a potem się zobaczy, ale na miejscu Chińczyków nie spałbym spokojnie. Paweł Kukiz jest ewidentnie wkurzony na rzeczywistość i postanowił coś zmienić, co mu się zresztą chwali. Większość Polaków nawet na wybory nie chodzi, a o takiej aktywności obywatelskiej, jaką wykazuje dinozaur polskiego rocka, możemy jedynie pomarzyć.

Ale uwierzyć w to, że zmiana ordynacji wyborczej spowoduje likwidację wszystkich patologii życia publicznego mógł chyba tylko on, bo już nawet nie ci, którzy lubią się z nim fotografować dla osiągnięcia własnych korzyści. Biega Pan Paweł od studia do studia, wymyśla Kaczorom i Donaldom, zapowiada, że wszystko przewróci do góry nogami, a tutaj jak na złość wszyscy usiłują go wepchnąć w ramówce pomiędzy Miśka Kamiń-

skiego, Stefana Niesiołowskiego i Adama Hoffmana. Jakby nie wiedzieli, że tu jednoosobowa rewolucja w fotelu siedzi. Oooh!, jaki jest wkurzony. Ma tutaj całą teczkę cytatów, z których wynika, że politycy kłamią i nie dotrzymują obietnic. Tak! Naprawdę! Nikt się jeszcze nie zorientował, że tak jest, i tylko on, nieprzejednany tropiciel prawdy i nosiciel rewolucyjnej idei JOW, może to politykom w twarz wykrzyzczyć.

Wydawałoby się, że taki nabuzowany, wyszczekany i oburzony człowiek rozniósłby każdego polityka w pył. Jeśli jednak ktoś ma pamięć dłuższą niż rybka akwariowa, to pamięta, że Pan Kukiz taką szansę otrzymał i na spółkę ze Zbigniewem Hołdyssem i Marcinem Mellerem mógł roznieść w pył urzędującego premiera w studiu telewizyjnym. Wtedy jednak wyglądało to tak: du, du, du... ma tu na kartce... ale... teraz akurat nie pamiętam, ale zaraz sobie przypomnę... eeee. Ogólnie był to spektakl dość marny, jak na kilkudziesięcioletnie doświadczenie sceniczne lidera zasłużonego zespołu „Piersi”. Ewidentnie wigor odzyskał wtedy, kiedy premier zniknął mu z zasięgu wzroku. Teraz kpi z Grzegorza Schetyny, że się widać „Donka” boi. On się oczywiście nigdy nie bał i pewnie nawet na ty z „Donkiem” przeszedł.

Ogólnie jednak niech nikogo nie zwiedzie ton tego, co napisałem. Nadal bowiem zazdroścę Panu Pawłowi i życzę i sobie, i innym, żeby w jego wieku zachowali w sobie aż tyle z małego, niewinnego dziecka, którym kiedyś wszyscy byliśmy.